Nr. 21. Poznań, Niedziela 24-go Maja 1905 r. Rok VI



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 mk.****; na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 47 hal. Pod opaską:*** *w Niemczech* ***1,90 mk.****, w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.*** *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***

Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246

Manuskryptów nie zwraca się.

„Gorące czasy."

W wirze walk wiecowych o wstawkę, stokroć większą aniżeli wydaje się na pozór, temperatura społeczna podniosła się znacznie i barometr nie spadnie, nim zebranie delegatów nie położy kresu naturalnemu starciu dwóch obozów i nie zjednoczy nas znowu wszystkich pod jednym, narodowym sztandarem.

Nastały chwilowo „gorące czasy," jak zauważa „Dzien. Pozn.," nad czem jednakże „Praca" nie ubolewa wcale, poczytując żywe zajęcie się sprawami wyborczemi w szerokich kołach niemniej jak sporne prądy i walkę tychże za wyraz wzrastającej żywotności naszego ogółu, za szkołę społeczną, za pożądany czynnik na drodze postępu.

Na karb tych „gorących czasów" i szybciej, namiętniej bijącego pulsu społecznego kładziemy też plotkę, która w spokojnych czasach pozostałaby w obrębie parafii, a teraz wkradła się na łamy poważnego organu — plotkę jakoby poseł Głębocki miał jeździć do Pleszewa przed wiecem i agitować tam przeciwko kandydaturze pana dra Dziembowskiego. Na mocy tej bajki spotkał posła Głębockiego zarzut niekoleżeńskości. Widocznie w obozie zwolenników „ładu i porządku..." dawnego wielki brak broni przeciwko ulubieńcom warstw postępowych i ludowych, jeżeli z plotki, w którą sami nie mogą szczerze uwierzyć, lepią kule przeciwko posłowi Głębockiemu. Atak ich wszakże chybia celu zupełnie, bo przekonaliśmy się, że w tych gorących czasach dość organom zachowawczym wystąpić przeciw jakiemu politykowi, by jednym zamachem spopularyzować go w kołach ludowców. Więc i w tym wypadku zachowawcy strzelili kulą w płot — tem sromotniej, że całkiem niepodobno dawać wiarę zwyż wzmiankowanej pogłosce.

Z góry nie przypuszczaliśmy, aby poseł Głębocki brał czynny udział w agitacyi. Zresztą wiadomo dobrze, że w Pleszewie nikt nawet nie myślał o postawieniu kandydatury p. dra Dziembowskiego, nie było przeto wcale potrzeby agitowania przeciw niej. I bez repliki posła Głębockiego, pomieszczonej w dwóch pismach, bylibyśmy wiedzieli, że były to — jak pisze poseł średzki — „wierutne, a wobec jasnego sprostowania p. Szumana, także i bezczelne fałsze."

Jeżeli tedy w tych gorących czasach zachowawcy nie mogą powstrzymać się od ostrzeliwania posła lub kandydata ludowego z za płotu, jak korespondent „Dzien." z Pleszewa, muszą wykazać więcej pomysłowości i poczucia prawdopodobieństwa. W przeciwnym razie ujawnią tylko bezsilny gniew z wyniesionej porażki i ośmieszą się.

Jak gorące nastały czasy okazało się na *wiecu w Śmiglu* w zeszłą niedzielę. Po przemówieniu posła Cegielskiego, przewodniczący, ks. prob. Wiśniewski, poddał najpierw pod głosowanie komitetową listę kandydatów: Cegielski, dr. Skarżyński. ks. prob. Mojżykiewicz. Zwolennicy jej — referuje „Dzienik" — mieli stanąć po prawej stronie, przeciwnicy po lewej. Po kilkunastu minutach zamięszania — czytamy dalej w „Dzien." — „stwierdzili wszyscy znajdujący się na estradzie, nawet reprezentanci pism ludowych, że za p. Cegielskim jest znaczna większość. Gdyby przewodniczący ks. prob. Wiśniewski — dodaje „Dzien." — był *wtedy* ogłosił wynik głosowania, sprawa byłaby załatwiona i lista komitetu przyjęta." A tymczasem „dzięki sprężystym przewódcom niebawem przeciwnicy pana Cegielskiego byli w większości" i przyjęto listę: dr. Skarżyński, Cegielski, ks. Mojżykiewicz.

Jakoż sprawozdawca „Dzien." robi między liniami zarzut przewodniczącemu, że... nie wykorzystał zamieszania na rzecz zachowawców, „nie ogłosił zaraz wyniku (?) głosowania," czyli nie posunął się do przemycania kandydatury pana szamb. Cegielskiego. Śliczne żądanie ani słowa! Więc ks. prob. Wiśniewski miał chwytać się manewru niegodnego, by prze-

pchnąć kandydata zachowawczego? Że sprawozdawca „Dzien.“ wystąpił z takiem życzeniem tłomaczy mu się jako niefortunny lapsus calami albo raczej za objaw — gorączki wyborczej, dotąd nie nazwanej jeszcze przez lekarzy specyalnem mianem. Z pewnością ks. prob. Wiśniewski wyprosi sobie podobnych „życzeń“ pod swym adresem. Spełniał by bowiem funkcye przewodniczącego jaknajgorzej, gdyby nie był dał wyborcom dość czasu do zoryentowania się po której stronie należy im stanąć, gdyby nie był sprawował funkcyi bezparcyalnie, lecz stał się narzędziem celów partyjnych!

Na wiecu tym po stronie ludowej ujawniła się niezgoda, gdyż jedni chcieli stawić na pierwszem miejscu listy dra Skarzyńskiego, inni, dra F. Niegolewskiego. Źródła tej niezgody — z której mógł łatwo skorzystać, „trzeci“ tj. zachowawcy — szukać należy w — „gorących czasach“ a mianowicie w „febris electoralis“, na którą zapadli nietylko zachowawcy ale także „Orędownik.“

W wirze walki z zachowawcami, w której już nietylko rozum polityczny ale przedewszystkiem zdrowy chłopski rozsądek radzi nie zrażać sobie sojusznika, nie wszczynać waśni na własnej linii bojowej — „Orędownik“ nie miał nic mędrszego jak wystąpić raptem przeciw drowi Niegolewskiemu — li tylko dla tego, że „Goniec Wielkopolski“ popiera go jako sprzyjającego narodowym-demokratom. „Orędownik“ przemawia tak jakby spadł z księżyca i dopiero teraz dowiedział się o narodowo-demokratycznych tendencyach dr. Niegolewskiego. I tak się nagle przeraził, że nie wahał się narobić hałasu i spowodować zamieszania w kołach wyborczych.

Mamy przeto znowu przykład jak wygląda ów oklepany „rozum polityczny“ „Orędownika“ oraz wymowny dowód na to, że siedzi w nim parafiańska dusza, niezdolna wznieść się, jak pisaliśmy niedawno, na ideową wyżynę, na której stawia swój trójnóg. Dość było, by „Goniec Wielkop.“ popierał kandydaturę p. dr. N., by „Orędownik“ zwinął chorągiewkę i wystąpił przeciw niej i to w najniestosowniejszej chwili, bez względu na dobro swej własnej sprawy.

Nie twierdzimy, aby „Orędownik“ jeden podlegał takim parafiańskim ambicyjkom. Nie! Krzewią się one bujnie na glebie poznańskiej, wszelako w tym wypadku podkreślić to należy dobitnie, aby warstwy mieszczańskie wiedziały, jakiego mentora mają w „Orędowniku“.

Orędownik chyba wie, że na obóz t. z. ludowców składają się najprzeróżniejsze żywioły a więc mieszczaństwo idące w bój z zachowawcami celem zyskania udziału w życiu publicznem, dalej żywioły postępowe pomiędzy inteligencyą oraz obywatele o demokratycznych czy liberalnych tendencyach. Wszystkie te żywioły spaja w jedno ciało wspólny przeciwnik, *opozycya* do sfery zachowawczej a siła t. zw. ludowców, która nadała im taki rozmach, tkwi w tem, że nikt nie różniczkował ludowców, nie wskazywał na różnice zachodzące w ich łonie i nie pogłębiał ich. Ale musi to zrobić wyładowany uprzedzeniami i ambicyjkami „Orędownik“ by wystawić sobie trwalszy od spiżu pomnik swego „rozumu politycznego...“

Wobec tego przychodzimy zatem do konkluzyi dawniejszej, że w okresie walki partyjnej potrzeba t. z. ludowcom grona polityków swej barwy, o których mogliby się oprzeć — jeźli nie chcą ponieść szwanku wskutek małostkowości i bałamuctwa „Orędownika“ — w *„gorących czasach.“*

Quis.

Nie lekceważcie woli ludu!

Dnia 26-go b. m. zbiorą się delegaci powiatowi z W. Ks. Poznańskiego, aby jako najwyższa władza wyborcza ustanowić kandydatów na posłów dla wszystkich okręgów. Jeźli czynność tę spełnią *należycie,* znów wszystkie nasze siły oraz cały nasz zapał dla sprawy będziemy mogli zwrócić przeciwko tym, którzy godzą na życie już nie jednej warstwy, lecz całego społeczeństwa naszego.

Jeżeli załatwią należycie.... W. zastrzeżeniu tem dopatrzą się może niektórzy pewnego rodzaju wotum nieufności względem walnego zebrania delegatów. Z góry tedy zapewniamy, że nie mamy bynajmniej zamiaru podejrzywać delegatów o złą wolę lub o rozmyślne jakie, naprzód postanowione nadużycie władzy. Nie! Zachodziły wprawdzie wypadki, że część społeczeństwa naszego nie była zadowoloną z uchwał delegatów. Ale i te wypadki nie usprawiedliwiałyby jeszcze podejrzliwości o *złą wolę.* Były one bowiem tylko wynikiem mylnych poglądów na nasze sprawy, niezrozumienia prądów, przebijających się z dołu ku górze w społeczeństwie naszem, życzeń, potrzeb i dążeń znacznej jego części. Więc i to nasze zastrzeżenie tylko do takiej odnosi się ewentualności.

A może się ona powtórzyć przecie! I tym razem — już nie w jednym tylko, lecz w kilku nawet okręgach walne zebrania postawiły kandydatów nie po myśli sfer, które dotychczas dzierżyły w swem ręku naszą władzę społeczno-narodową. Z głosów prasy zaś, reprezentującej zapatrywania tych właśnie sfer, wnosić by można, że uważają one te objawy woli zebrań nie za wyraźną wolę większości ludu, lecz jedynie za rezultat *sztucznej,* przez *jednostki* uprawianej agitacyi. Ztąd też łatwo powstać może pokusa, przeciwdziałania, niejako „prostowania“ uchwał owych zebrań. A pokusa ta bynajmniej nie potrzebuje być wynikiem złej woli, chęci utrzymania się przy władzy, nadania naszej zewnętrznej polityce także nadal dotychczasowego kierunku, lecz wprost *uczciwego,* aczkolwiek *mylnego* pojmowania dobra ogółu.

To bowiem sferom tym zarzucić można, że zasklepiając się w formułkach tradycyjnych nie badają należycie żywego tętna procesu, jaki się obecnie odbywa zarówno w całym wewnętrznym ustroju, jak i w tak zw. średnich i niższych warstwach społeczeństwa naszego, że zawsze jeszcze sądzą, iż nic się u nas nie zmieniło i że wskutek tego, co było dobrem za ojców naszych, *musi* być dobrem także dziś oraz w przyszłości. Sfery te nie chcą nawet uwierzyć, że gdyby nie *wspólna* niedola wszystkich warstw społecznych u nas, gdyby nie wynikające z niej *instynktowne* poczucie potrzeby solidarności, społeczeństwo nasze przedstawiałoby zapewne dziś taki sam obraz i widok, jaki dają nam inne społeczeństwa zachodnie, że toczyłyby się w niem takie same walki społeczne, jakie toczą się gdzie indziej.

Ponieważ zaś solidarność *jaknajściślejsza,* jedność wprost nierozerwalna, są nam wobec przemożnych sił wrogów naszych do utrzymania bytu niezbędnie potrzebne, przeto też to niezrozumienie odmiennych dzisiejszych stosunków naszych, to ignorowanie zdania sfer niższych i średnich, jest podwójnie dla nas niebezpieczne. I z tej jedynie przyczyny podnosimy dziś głos ostrzegawczy.

Raz już, w artykule: „Głos ludu“ — wskazała „Praca“ na to uwagę, że brak wyraźnego programu, zarzucany tak często ruchowi ludowemu u nas przez tak zw. wyższe czyli też „ugodowe“ sfery, nie jest objawem, usprawiedliwiającym ignorowanie woli tego ruchu, że brak ten jest tylko *okolicznością*, towarzyszącą zwykle podobnym przejawom — zanim się wyrobią i skrystalizują, że natomiast ruch ów sam i spontaniczne chociażby głosy jego są najlepszym wyrazem jego dążeń i — siły żywotnej. I na to raz jeszcze zwracamy uwagę.

Nie trzeba igrać z ogniem! Kto n. p. — jak to czyni „Kuryer Pozn.“ — zarzuca „ludowcom,“ iż *sztucznie* wpływają na wynik głosowania na zebraniach, a równocześnie wzywa n. p. przyjaciół p. Cegielskiego w Kościańskim, ażeby rozmaitemi środeczkami i „kruczkami“ bronili jego kandydatury, ten rzuca w materyał bardzo zapalną pochodnię niezgody i nienawiści. Niekiedy czytając elukubracye organów tak zw. ugodowych, odnosi się wrażenie, że nie wyrobiły one sobie jeszcze należytego pojęcia o zasadzie: *równe prawa dla wszystkich*, że zawsze jeszcze pewne sfery i pewnych ludzi uważają za *uprzywilejowanych* do władzy, reprezentacyi, a nawet do... *nadużyć*.

Z wszystkich tych przyczyn wołamy raz jeszcze: Nie lekceważcie woli ludu! — a wołamy to w tej chwili pod adresem *delegatów powiatowych*. Nie zważajcie jedynie na *formę*, w jakiej się ta wola ludu objawia, lecz weźcie pod rozwagę już sam fakt, *że się objawia*, bo to dowód, że *istnieje*. A *istniejących* rzeczy, i to *silnie* istniejących nie dobrze ignorować.

Nie przeceniajcie dalej — *jednostek*, które dotychczas reprezentowały w Kole parlamentarnem ogół, a właściwie pewne tylko jego warstwy. Nie ma człowieka, któregoby innym zastąpić nie można. Kult *osobistości* nigdy zaś nie wychodził na dobre *sprawie*.

Liczcie się z wolą ludu przy ustanawianiu kandydatów, bo inaczej wywołać możecie skutki — które *was* zmiotą z widowni — o co mniejsza jeszcze — lecz co gorsza ciężki cios zadać mogą naszej *sprawie i całemu społeczeństwu!*

Czujny.

Nowy namiestnik Galicyi.

***Kraków*, dnia 15 maja.**

„Habemus papam!“ Mamy nowego namiestnika: jest nim obecny marszałek krajowy Galicyi, dziedzic Krzeszowic i pałacu „pod baranami“ w Krakowie, hr. *Andrzej Potocki.*

„Przesilenie namiestnikowskie“ w Galicyi trwało tym razem bardzo długo, a to głównie z tej przyczyny, że konserwatywna większość reprezentacyi Galicyjskiej w Wiedniu nie mogła się zdecydować, kogo na następcę hr. Pinińskiego od dr. Koerbera zażądać? Nie brakło przytem różnych, nieraz arcyzabawnych fint i sztuczek, aby mniej pożądane kandydatury ubić, zanim pojawią się w oficyalnej formie. Już z tego jednakże, że pojawiły się także inne kandydatury, wywnioskować łatwo, iż hr. *Andrzej Potocki*, jakkolwiek także konserwatysta pierwszej próby, nie wszystkim galicyjskim konserwatystom dogadzał i dogadza — jako przyszły namiestnik — a nawet za fakt uchodzić może, co dla niego samego zapewne także tajemnicą nie jest, iż dla wielu z konserwatystów nominacya jego bardzo *niemiłym* będzie wypadkiem. Hr. Potocki jest bowiem konserwatystą w najlepszem tego słowa znaczeniu, a chociaż i wad ma niemało, to jednak cieszy się sławą wytrwałego pracownika, bardzo *sumiennego* w spełnianiu obowiązków, brzydzącego się protekcyami i gospodarką koneksyi i „przyjacielskich usług“ — kosztem kraju i spraw publicznych.

Decyzya co do jego kandydatury nastąpiła dopiero w tych dniach w Wiedniu. Poprzedziły ją bardzo ożywione pertraktacye między nim a dr. Koerberem. Rozmyślnie przytem unikano publicznej audyencyi hrabiego u cesarza. Zdecydowawszy się w zasadzie przyjąć godność i urząd namiestnika hr. Potocki stawiał podobno twarde warunki w kierunku odświeżenia i uruchomienia kadrów urzędniczych w namiestnictwie, zaskrzepłych formalnie w jednostronności no i w bezczynności pod rządami hr. Pinińskiego. Rząd długo się warunkom tym miał opierać — ostatecznie jednak przyjął je w całości.

Hrabiego *Leona Pinińskiego*, dotychczasowego namiestnika, trafił i uśmiercił ten głównie zarzut, że w manipulacyach urzędowych namiestnictwa pod jego rządami nastąpił niebywały dotychczas nawet w Galicyi zastój, wstrzymujący wprost dalsze funkcyonowanie maszyny administracyjnej w naszym „kraju.“ Hr. Andrzej Potocki musi więc naprawić, co zepsuł jego poprzednik, a że sam przeszłości urzędniczej nie posiada, spełnić może trudne to zadanie jedynie przy pomocy *nowych* odpowiednio wyrobionych sił. Mówią tedy już głośno, że objęcie rządów przez hr. Potockiego połączone będzie z dymisyą aż *kilkunastu* wyższych urzędników namiestnictwa, i że poważne w nowym jego składzie stanowisko zająć ma obecny radzca ministeryalny dr. *Rosner*, naturalnie także Polak.

Czy się atoli hr. Potockiemu naprawa złego, jakie się zakradło do administracyi krajowej, powiedzie, to rzecz inna, to pytanie, na które dziś jeszcze odpowiedzieć trudno. Znawcy spraw administracyjnych wyrażają się o tem bardzo pesymistycznie. Ich zdaniem, Galicya stanowi *za wielki* obwód administracyjny.

Podczas gdy np. w *Prusach* podstawą administracyi są *obwody rejencyjne*, nie przekraczające zwykle 300 mil kwadratowych i dwóch milionów mieszkańców w conajwyżej 20 powiatach, naczelni prezesowie prowincyi zaś stanowią niejako wyższą instancyą i tylko w wyjątkowych sprawach komunikują się wprost z powiatami; w Galicyi pełni namiestnictwo funkcye *zarówno* prezesów rejencyjnych jak i naczelnego prezesa dla kraju, obejmującego *1400* mil kwadratowych i przeszło 7 milionów mieszkańców przyczem bezpośrednio komunikować się musi z *dwoma* samodzielnemi miastami (Lwowem i Krakowem) i z *74 powiatami*. Już z tego wynika, jak ogromnym musi być jego aparat urzędniczy i jak olbrzymi ciężar pracy nakłada ono na barki jednostki, stojącej na czele administracyi. Jeżli więc hr. Andrzej Potocki dokaże tego, że znów wróci ład, porządek i względny chociaż pośpiech w załatwieniu spraw administracyjnych, to dokaże cudu, za który spotka go ogólne uznanie.

Nominacya jego jest właściwie faktem dokonanym, ogłoszoną będzie jednak dopiero z końcem maja lub w początku czerwca, gdyż nowy namiestnik pragnie jeszcze, przed objęciem nowego stanowiska, udać się na kilkotygodniową kuracyę do Karłowych War, ażeby zabrać się do pracy z świeżemi siłami. Oby tylko nie była — syzyfową.

Bliższe szczegóły z życia hr. Andrzeja Potockiego podam wam w przyszłym liście. Dziś poruszę jeszcze jedną sprawę, która stała się aktualna z powodu tej nominacyi, a mianowicie, *kto zostanie następcą hr. Potockiego na stanowisku marszałka krajowego*, a więc szefa samorządu Galicyi? I na to stanowisko nie braknie kandydatów. Największe szanse ma jednakże podobno hr. *Stanisław Stadnicki*, również konserwatysta, lecz w swych poglądach na pracę i obowiązki podobny do hr. Potockiego. Jego nomi-

nacya zadowoliłaby może nawet sfery demokratyczne i postępowe; wzburzyłaby tylko *Rusinów*, którzy hr. Stadnickiego uważają za najzaciętszego wroga swego. Czy jest nim w istocie — nie wiem, lecz wątpię!

Galicyanin.

Pielgrzymka do Rzymu.

Adres do Ojca św.

wręczony przez Najp. X. B. Likowskiego dnia 23 kwietnia w imieniu pielgrzymki brzmi w przekładzie:

Ojcze święty!

Długa i pełna droga rozdziela nasz kraj od miasta wiecznego; było jednak naszym obowiązkiem Ojcze święty, wziąć udział w uroczystościach Twego szczęsnego i radosnego jubileuszu.

Jesteśmy bowiem synami narodu, który od chwili przyjęcia prawdziwej wiary aż do dnia dzisiajszego wiernie i stale przywiązany jest do Stolicy świętej, który wiarą chrześciańską oświecony orliwością apostolską słowo Boże. innym narodom ogłaszał, który wreszcie dzielną i zwycięzką ręką w wiekach dawniejszych nieraz bronił Kościół św. od Turków, pragnących na wieżach naszych kościołów na miejsce krzyżów półksiężyc umieścić.

By nas wszelako za niegodnych synów takich ojców nie uważano, przybyliśmy, Ojcze św., niepomni trudów podróży dalekiej, by jak inne katolickie narody, złożyć Ci nasze życzenia, że Ci Bóg lat Piotrowych dożyć pozwolił, że Ci użyczył nietylko długiego, ale i chwalebnego panowania, wśród którego mądrze i zbawiennie Kościołem św. rządzisz, siejąc encyklikami Twemi jasne, z nieba zaczerpnięte światło, czem nietylko podbiłeś sobie serca Twych synów, ale sprawiłeś, że i ci, którzy do Kościoła katolickiego nie należą, cześć i szacunek Ci oddają.

Widzisz, jak niestety wszędzie, a zwłaszcza obecnie we Francyi, burzliwe fale prześladowań miotają łodzią Chrystusową; tem bardziej potrzebuje ona mądrości Twojej i roztropności, by wśród nawałnic silnie i bezpiecznie kierowaną była.

Niechaj Cię zatem Bóg miłościwy na długie jeszcze lata przy zdrowiu zachować raczy dla oblubienicy swojej.

Oto, Ojcze św., by Cię nie nużyć długiemi słowy, najszczersze życzenia nasze, jakie u stóp Twoich w pokorze składamy, a jakie łaskawie przyjąć od nas zechciej.

Jedna rzecz w tej uroczystej chwili niewymownie nas zasmuca! Nasz najukochańszy Xiądz Arcypasterz Floryan nie jest tu obecny. Od dłuższego czasu ciężką złożony niemocą, nie mógł, mimo, że szczerze tego pragnął, pospołu z nami przybyć do grobów Apostolskich. Lecz z wyrażonemi co dopiero przezemnie życzeniami łączy i On swoje życzenia najpokorniejsze, mające być dowodem nie tylko jego niewzruszonej dla św. Stolicy wierności, ale zarazem jego gorącej i synowskiej miłości i poważania dla Ciebie, Ojcze święty.

Ponieważ zaś nikt do tej św. Stolicy się zbliżający bez błogosławieństwa Namiestnika Chrystusowego nie odchodzi, dla tego zechciej, Ojcze św., udzielić łaskawie ojcowskiego Twego błogosławieństwa Najprzewielebniejszemu naszemu X. Arcypasterzowi, obydwom kapitułom metropolitalnym, duchowieństwu, wiernym obydwóch dyecezyi i nam tu obecnym.

Posłuszny i przywiązany syn
X. Edward Likowski,
Biskup Aureliopolitański i sufragan poznański.
Z dyecezyi Gnieźnieńskiej i Poznańskiej, dnia 13 kwietnia roku 1903.

(Specyalna korespondencya „Pracy“).

Rzym.

Dzięki zabiegliwym staraniom naszego przewodnika, odbyła się specyalnie dla pielgrzymów *Msza św. w katakumbach,* na co nie łatwo i nie często dają pozwolenie.

Wczesnym rankiem, bo około godz. 7-mej, ze wszystkich hoteli i pensyonatów zajmowanych przez naszych, spieszyły dorożki za miasto, którego okolice ze swemi wysoko wzniesionemi ogrodami i willami o zupełnie innej, jaką się u nas widuje architekturze, otoczonej cyprysami z wiecznie, chociaż nie ma wiatru, pochylonemi wierzchołkami, przypominają znane z reprodukcyi obrazy Boeklina. Ten sam tu co i na płótnie smętny nastrój, ta sama cisza cmentarna i jakaś wiejącą z tych drzew powaga.

Deszcz padający dnia tego, jeszcze więcej ponurym i chmurnym urokiem owiał całą okolicę, co wraz z tajemniczością mających się nam ukazać katakumb, nasuwało same myśli wielkie i smutne, od których twarze zlekka bladły, a czoła pokryła zaduma, nad wielką tajnią grobów. — Ponieważ trzeba było czekać w przedsionku katakumb zanim się wszyscy zbiorą, jeden z duchownych, zaczął nam czytać ustęp z Quo Vadis, w którym to Winicjusz z Chilonem udaje się na miejsce zebrań chrześcian celem odszukania Ligii.

Stanąwszy w otwartych drzwiach przedsionka, mając jednych za sobą, drugich przed sobą, stojących na małym pałacyku, wśród tłumu dorożek zwiększającego się co chwilę zaczął czytać.

Tymczasem zajeżdżały jedne za drugiemi, rzędem długim dorożki, z których zapóźnieni wysiadali spiesznie, trzeba było zatem zostawić Piotra opowiadającego wielką nowinę i chrześcian śpiewających poważne pieśni wśród ciemnej nocy i niecierpliwiącego się Winiciusza i pospieszyć w głąb podziemi. Rozdano świeczki i udano się słabo oświetlonym korytarzem do względnie dużej kaplicy, gdzie stał ołtarz. Ściany nagie, ciemne z ziemi, wśród nich prosty ołtarz, mający za całą ozdobę krzyż, który przynieśliśmy z sobą, jak zresztą wszystkie do niej potrzebne sprzęty, i świece, oto spartańska prostota z jaką pierwsi chrześcijanie odprawiali msze tajne dla wiernych. Dziwne uczucie ogarnęło nas wszystkich, gdy wśród tych niezwykłych miejsc rozległy się słowa pieśni polskich. Mistyczne jakieś pokrewieństwo między nami, dziećmi naszej nieszczęśliwej Ojczyzny, a tymi chrześciańskimi męczennikami, odczuliśmy wszyscy.

I tu i tam nic na obronę własną, *prócz potęgi ducha, wiary, nadziei i silnej woli.* Więc i rezultat będzie ten sam — myśleliśmy ze wzruszeniem — wielkie, wspaniałe zwycięstwo idei szlachetnej i sprawiedliwej!

Z dziwną wewnętrzną, niczem nie pojętą otuchą, padamy na kolana, a tymczasem pieśń milknie, msza się kończy i wprowadzają nas w podziemia coraz głębsze, coraz węższymi korytarzami. Na przodzie przewodnik, za nim długi łańcuch postaci z kagańcami w ręku.

„W otchłań katakumb wstępowałem ciemną,
„Zdala ujrzałem światło i ołtarze
„I męczenników smutne blade twarze
„Ze szmerem modlitw stanęły przedemną.“

Księża po drodze wstrzymują się, tłomaczą, objaśniają. Tu pokazują ślady grobu jakiegoś męczennika, przy nim, czyli przy garstce kości, leżących wśród głębokiego otworu w ścianie, czaszka z jego krwią. Czasem z ciemnej czeluści patrzy się na nas naga, ludzka czaszka. Puste orbitry mają jakiś głęboki wyraz. Zdają się mówić do nas owe pamiętne i znane nam słowa: „Byliśmy czem jesteście, będziecie czem jesteśmy!“

Odwracamy głowę od tego widoku,

zdającego się urągać naszej marności i zatrzymujemy się przed wyrytą na marmurze rybą, symbolem chrześcijaństwa, pawiem, lub starożytnym napisem opiewającym, kto tu leży, lub powtarzającym jakieś słowa religijnej treści, wypisy ewangelii i pisma świętego.

Pozwalają zabierać nam na pamiątkę grudki ziemi, ale nic innego, pod grozą ekskomuniki. Idziemy coraz dalej, coraz głębiej. Powietrze robi się duszne i bardzo ciężkie. Czujemy pod sobą znaczne pokłady ziemi. Wreszcie natrafiamy na źródełko św. Piotra, mały basenik wody, błyszczący swą szklanną powierzchnią dziwnie tajemniczo wśród ciemności, jak jakieś ogromnie ciągle otwarte oko.

Tu kończy się nasza wędrówka. Powracamy z radością do słońca, światła, na powierzchnię ziemi.

O. K.

Z TYGODNIA.

„Polonia semper fidelis!“ — Polska zawsze wierna Kościołowi i Stolicy św. — to zapewnienie zawieźliśmy przed laty do Rzymu, i to nam potwierdzono przez usta Namiestnika Chrystusowego. I była ta Polska nasza naprawdę tak wierną zawsze Kościołowi i Stolicy św. — że dla ich dobra przelewała przez całe wieki krew swych synów i często, bardzo często dla ich dobra poświęcała interesy własne, nieraz aż nazbyt żywotne. Nie dziw więc, że niezmiernie przykre uczucia wywołały u nas i w całej Polsce wieści, iż podczas pobytu cesarza Wilhelma w Rzymie i w Monte Cassino toczyły się także układy o spadek po Np. księdzu Arcybiskupie Stablewskim, o późniejsze obsadzenie tej naszej najważniejszej stolicy biskupiej, bo matki Kościoła w Polsce, i że już niejako upatrzono na tę stolicę Arcybiskupa *Niemca.* A jeszcze boleśniejsze wrażenie wywołała wieść, że Kościół zgodzi się niejako na to, iż rolę Arcybiskupa germanizatora obejmie w tym wypadku zakonnik reguły św. Benedykta, że przywiezie z sobą, jakoby odkomenderowanych w tym celu, tylu a tylu księży zakonnych, do tępienia narodowości polskiej, do krępowania polskiego duchowieństwa. Rzecz zaprawdę dziwna, że z wyżyn stolicy Piotrowej dotychczas nic zaprzeczono tej wprost *potwornej* wieści. My jej jeszcze nie wierzymy, nie przypuścić nie możemy nawet, iżby się kiedykolwiek spełniła; a jednak nie możemy się pozbyć smutnych refleksyi na temat niezwykłej serdeczności między dworem pruskim a Rzymem.

Była także mowa w prasie o tem, że Niemcy domagają się od Stolicy św., ażeby im przyznano *protektorat nad katolikami na Wschodzie,* który dotychczas jest w rękach *Francyi.* I ta wieść nie zachwyciła zapewne wiernych po za granicami... Niemiec. *Francya* wprawdzie czyni obecnie, co może, ażeby okazać przed światem, że już nie jest „najstarszą córą Kościoła.“ Ale to sprawa przejściowa. Mimo dzisiejszego panoszenia się niewiary we Francyi, kraj ten dla Kościoła wart stokroć więcej, niż najbardziej uprzejme dla Stolicy św. Niemcy. I mimowoli wyrywa się z piersi katolików westchnienie, aby Stolica św. pamiętała zawsze o starej prawdzie, mieszczącej się w wierszu z Iliady: „Boję się Danaów — chociaż dary niosących...“

W *Niemczech* zamieszanie coraz większe. Minister wojny generał *Gossler* — idzie „na odstawkę“ — lecz pozostawia w swej tece następcy swemu podobno nowe żądania milionów na cele wojskowe. A lepiej by było, gdyby stało się przeciwnie, gdyby Gossler pozostał, a nowe żądania otrzymały dymisyą. Z wyżyn komenderujących generałów spadają nawet bliscy krewni cesarscy, a fama głosi, że spadają dlatego, ponieważ zbyt energicznie bronili żołnierzy przed prześladowaniem ze strony przełożonych. Wszystko to woda na młyn tak zw. „żywiołów przewrotu.“ One też zapewne i przy zbliżających się wyborach, jedyne ze wszystkich *tryumfować* będą.

W *Warszawie* spodziewają się podobno wizyty cara *Mikołaja.* Jesteśmy otwarci i szczerzy, więc też żadnych z tego „spodziewania“ nie wysnuwamy wniosków ni przypuszczeń. Prysły złudzenia, jakim się bracia nasi w Królestwie pierwotnie oddawali — a do nowych nie ma powodu, dopóki taki *Czertków* ciężką swą rękę trzyma na całem życiu polskiem tego zaboru. „Słowiańska“ Rosya szuka nowych zdobyczy na dalekim wschodzie. Polaków dławi, Bułgarów macedońskich gani i karci, że żyć pragną jako Słowianie niezależni — drwi z reszty słowiańszczyzny i nie widzi tego, jak rodowici Niemcy, patrząc na to zacierają ręce. Toć marzą już o zaborze ziem słowiańskich pod Dniepr Don i morze Czarne....

Tymczasem *Bułgarya,* opuszczona przez Rosyą, wije się w politycznych konwulsyach. Radaby ująć się za tępionymi braćmi — lecz „matuszka“ Rosya na to nie pozwala. Owocem tej „opieki“ rosyjskiej jest nowe przesilenie ministeryalne w tym kraju, które mu nie przysporzy pomyślności.

Ruch *macedoński* w takich warunkach przybiera coraz bardziej charakter *anarchistyczny.* Tem samem podpisuje wyrok na siebie — lecz odpowiedzialność za to spada na Rosyą głównie.

W *Austryi* i na *Węgrzech* jak zwykle, walki domowe, wynikające z zatargów narodowościowych. *Chorwaci* biją Węgrów i chętnie by ich się pozbyli z pięknego kraju swego. Czy im się to powiedzie, może już niedaleka przyszłość pokaże.

W wiedeńskiem *Kole polskiem* również zawierucha. Wraz z dotychczasowym namiestnikiem Galicyi ustępuje prezes Koła, sędziwy pan Jaworski, a miejsce jego obejmuje hr. *Dzieduszycki.* Zmiana w kierownictwie Koła byłaby potrzebna, a mianowicie *w polityce* Koła, lecz ta zmiana, to tylko zmiana osób, która ani Galicyi, ani Polsce na dobre nie wyjdzie.

O. K.

Przegląd prasy.

Na wstępie raz jeszcze przypominamy, że *listy wyborcze* są wyłożone w odnośnych urzędach od 18 b. m. do 25 włącznie, gdzie każdy wyborca może i powinien je przejrzeć albo sam albo za pośrednictwem innej osoby, celem sprawdzenia, czy nazwisko jego zostało wpisane jak należy. Jest to koniecznem jeżeli nie mamy pozbawić się przez opieszałość znacznej ilości polskich głosów. Niemcy na każdym kroku starają się obciąć nasze prawa i swobody obywatelskie, więc można się spodziewać, że w listach wyborczych wiele nazwisk polskich pominięto lub zmieniono. W przypuszczeniu tem potwierdza nas list z powiatu poznańskiego zachodniego do *„Dzien. Pozn.“*, w którym czytamy:

„Obowiązkiem moim jest zwrócić uwagę szanownej Redakcyi na to, że podpadająco wiele wyborców w wyłożonych tu listach wyborczych *nie jest wpisanych.* Piszę, podpadająco, bo nigdy tyle ich nie brakło i ręczę, że to manewra wyborcze, aby jak najmniej głosów było „naszych.“

Tu mniejsza o to, bo swoją drogą nie wpisanych do tego się nakłoni, aby swoje nazwisko kazali wpisać, lecz mamy wiele dominiów niemieckich, gdzie niemiecki odbiorca listy wyborczej, żadnemu Polakowi nie zwróci uwagi na to, że nie jest wpisany.

Muszą więc mężowie zaufania w tej sprawie czynnie się wziąć do dzieła.

A na co to utrudnianie z zapisaniem nazwiska. Wyraźnie [illegible] p. komisarz powiedział, „że osoba, która nie została wpisaną, a chce być wpisaną,

musi osobiście być wzięta do protokułu i powody podać.“

Dnia 26 b. m. odbędzie się zjazd delegatów w Poznaniu, na którym zostanie uchwaloną lista kandydatów naszych na W. Ks. Poznańskie. Od tej chwili ustać powinna wszelka walka partyjna i, wszyscy zgodnie stanąwszy po stronie kandydata, za nim agitować. *„Wielkopolanin“* zwraca na to uwagę w tych słowach:

„Skoro delegaci zatwierdzą posłów, wszyscy jak jeden mąż staniemy i oddamy głosy nasze na posłów wybranych na wiecach i zatwierdzonych przez naszą najwyższą władzę wyborczą, choćby nam ten lub ów poseł mniej się podobał.

Po zatwierdzeniu posłów przez nasze najwyższe władze wyborcze, wszelka krytyka ustaje, a zaczyna się praca w celu przeprowadzenia rodaków posłów i to jak największą liczbą głosów. *Solidarność przedewszystkiem!* Możemy mieć różne w różnych sprawach zapatrywania, ale gdzie chodzi o walkę z nieprzejednanym przeciwnikiem, Niemcem, tam poczujemy się wszyscy jako jednej matki dzieci i zgodnie stanłemy w dniu 16-go czerwca przy urnie i oddamy głos na rodaka.“

Tymczasem walka wre. Na wiecu *w Śmiglu* starły się dwa obozy, o czem piszemy na innem miejscu, tu nadmieniając tylko, że przyjęło listę opozycyi: *dr. Skarzyński*, Cegielski, ks. prob. Mojżykiewicz.

Na wiecu w *Grodzisku* również przeszła lista ludowa: *dr. W. Skarzyński*, dr. F. Niegolewski, mec. Chrzanowski.

O słynnym *tajnym wiecu w Krotoszynie* podaje bliższe szczegóły korespondent *„Gońca“*. Kilka ważnych pytań zawierających krytykę działalności Koła polskiego, stawił na tem zebraniu *ks. Thiel z Koryt*, a mianowicie prosił o wyjaśnienie:

„1) Dlaczego tylko kilku posłów głosowało za nami?

Dlaczego koło polskie trzyma się centrum, które głosowało za powiększeniem milionów na wykupienie ziem poskich?

Co myśli zrobić Koło polskie z posłami z Górnego Ślązka, jeżeli tam przejdą Polacy, czy ich przyjmie do Koła?

Wyborcy z zadowoleniem zapytania te oklaskiwali, gdyż zapytania te były po ich myśli. Na dwa pierwsze zapytania dał ks. prałat odpowiedź znaną już czytelnikom. Co zaś do trzeciego punktu powiedział ks. prałat, iż jeżeli komitet ślązki stawi wniosek do komitetu poznańskiego o przyjęcie go pod swój wpływ, to posłowie śląscy będą mogli wstąpić do Koła polskiego.

Po wyjaśnieniu tej sprawy stawia ks. Tiel wniosek, aby w przyszłości komitet powiatowy ogłaszał zebrania wyborcze w wszystkich polskich pismach, gdyż naród, który czyta tańsze pisma, ma wiedzieć o zebraniu, a wszystkich na „Dziennika“ nie stać. Huczne brawa okazały, iż tym wnioskiem ks. Tiel trafił w myśl wyborców. Następnie tenże mówca prosił ks. prałata, aby w przyszłości raczył co rok widzieć się z wyborcami, bo tylko wtenczas może być zgoda, jeżeli na zebraniu poseł porozumie się z wyborcami. Ks. poseł przyrzekł, iż na wezwanie czyli zaproszenie komitetu stawi się i zda sprawozdanie co rok.

Z pism, w których mają być ogłaszane zebrania wyborcze, wymienił ks. Tiel „Gońca W.“ „Orędownika“, „Pracę“ i „Postęp“, oraz prosił, aby zebrania odbywały się w niedzielę, aby lud roboczy mógł być obecnym, bo temu potrzeba uświadomienia i oświaty.“

Występ ks. Thiela był istotnie jasnym punktem obrad na tym wiecu.

„Postęp“ odbiera ze *Środy* list, z którego dowiadujemy się, że dnia 7 b. m. na zebraniu dozoru i reprezentacyi szkoły katolickiej, do której należy ks. prał. *Jażdżewski*, zaszła następująca scena:

„Przy zagajeniu tegoż zebrania wyrazili członkowie ubolewanie, że z inteligencyi dr. Opieliński i dr. Ławicki wybrani do reprezentacyi na zebrania szkolne, które w bieżącym czasie z powodu projektu budowy nowego budynku szkolnego i innych ważnych spraw często się odbywają, nie uczęszczają.

Przewodniczący p. Roll proponował karę, a zabierając głos będący obecny ks. prałat Jażdżewski wyraził się po niemiecku, że on swój urząd także złoży, gdyż znajduje się pomiędzy „dummes Volk“ po dwa razy.

Pytam się, za co ta zemsta? Czy za to, że zebranie przedwyborcze pod przewodnictwem księdza prałata nie zezwoliło na zaczepki pana Milewskiego przeciw naszemu posłowi p. Głębockiemu? lub czy ks. prałatowi tak mocno zależało, aby projekt komitetowy stawiający kandydaturę p. Cegielskiego był nieobalony? albo że delegatem, jak wpierw w komitecie urojono, nie został p. Milewski?

Pytam się, czy zebranie nie mogło się oburzać, jeżeli z estrady padały słowa „milczeć“ i tem podobne? Przecie na to się zbieramy, aby się wspólnie porozumiewać, — nie na to, aby kilku przeprowadzało przeciwne zebraniu uchwały.

Teraz, gdy naród usuwa jednego po drugim nieprzejednanego posła, ks. prałat ratuje swoją zagrożoną postawę, mści się na obywatelstwie średzkiem, nazywając je „dummes Volk.“

Sądzę, że ks. prałat bliżej się wytłomaczy, co miało znaczyć „dummes Volk?“ Jako na posła polskiego, wybranego przez lud i jako na kapłana, tem mniej możnaby się było tego spodziewać.“

Agitacya *wyborcza na Górnym Sląsku* przybrała wielkie rozmiary a centrowcy uciekają się do najróżniejszych sposobów, by ratować swe stanowisko. Tak w *„Górnoślązaku“* czytamy:

„W obecnej chwili jesteśmy świadkami rzeczy niebywałych i niesłychanych. Księża centrowcy nigdy jeszcze nie wojowali tak z ludem polskim jak obecnie. Albowiem walka z pismami polsko-katolickiemi, które nie łączą się z centrum, nie jest niczem więcej jak walką z ludem samym.

Nietylko gazety nasze spotykają się z napaściami, ale lud sam bywa zaczepiany w najdroższych uczuciach swych z ambony, i to jedynie dla tego, że chce wybierać posłów polsko-katolickich.

W obecnej chwili jesteśmy świadkami, jak spowiedź wielkanocna, którą odprawiamy z nakazu Kościoła, przez księży centrowców bywa nadużywana w celach agitacyjnych. Zwalcza się tam pisma polskie, zwalcza się i lży ich redaktorów, zwalcza się kandydatów poselskich i to nie przebierając w środkach.

Przed kościołami i na cmentarzach centrowcy rozrzucają miliony odezw pomiędzy lud, w których się zachwalają i polecają, a miejscami księża sami stoją przed kościołem i wciskają wiernym pisma centrowe.

W związkach stojących pod ich komendą, centrowcy agitują w sposób niesmaczny i potępienia godny. Nie mają odwagi zwołać wieca polskiego, bo boją się ludu zniechęconego do centrum i nienawidzącego je, dla tego uprawiają robotę krecią, minując pod stronnictwem narodowem.“

„Katolik“ dość bierną odgrywa rolę w ruchu wyborczym, trzyma się jedynie swego „Górnoślązaka polskiego rodu“, pana Królika i usiłuje go bronić przed narodowcami. O niegodnej i ze wszech miar nieszczęśliwej dyplomacyi „Katolika“ pisze warszawska *„Gazeta Polska“* kończąc swe wywody temi słowy:

„W okresie walki trzeba posiadać więcej niż świetną przeszłość, bezinteresowność i uczciwość osobistą. Trzeba mieć świadomość tego, że istnieją granice, których przekraczać, ustępstwa, których robić nie wolno; trzeba posiadać poczucie godności i odwagę śmiałego wystąpienia w obronie godności społeczeństwa, — a kto tego nie ma, lecz dla miłego spokoju i zgody z dawnym, obecnie już bardzo zmienionym, sprzymierzeńcem, cofa się na każdym kroku i znosi bezczynnie obelgi, rzucane w twarz społeczeństwu, ten nie może rościć sobie pretensyi do kierowania tem społeczeństwem. Niech redaktor „Katolika“ bytomskiego pozostanie sobie przywódzcą „Górnoszlązaków mówiących po polsku i po niemiecku“, ale niech nie wymaga, ażeby ci, którzy uważają się za Polaków górnoszlązkich, zdegradowali się przez przyjęcie tej nazwy, którą on pozwala narzucić swemu kandydatowi poselskiemu.“

A mimo to Niemcy katolicy w Bytomskiem jednak nie chcą głosować na pana Królika. Chociaż ich naczelna władza wyborcza ogłosiła go kandydatem centrowców, robiąc przez to koncesyę na rzecz „Katolika,“ Niemcy katolicy na zebraniu w Górach stawili przeciwko p. Królikowi własnego kandydata, sędziego Antesa. Niechęć do Polaków, ba! nawet do „Górnoślązaków polskiego rodu“ jest pomiędzy Niemcami taka, iż wyłamują się z pod zwierzchnictwa swego komitetu, chcąc mieć posłem — Niemca. I tak więc nawet drobne, sowicie okupione ustępstwo ze strony centrum nie będzie miało dla pana Napieralskiego żadnej praktycznej korzyści. Okazuje się tu znowu — nie po raz pierwszy — ile warta przyjaźń centrowców, którą jako niezbędną i nader cenną

dla nas przedstawiają poznańscy zachowawcy. „Katolik“ wyszedł *na tej* przyjaźni jak „Zabłocki na mydle.“ To też p. N. nareszcie oburzył się srodze na centrowców, których dotąd osłaniał i w „*Dzienn. Sląsk.*“ tak pisze:

„Podajemy to wszystko, (opis zebrania w Górach) ażeby wyborcy polscy widzieli jasno, o co chodzi. W ostatnich trzydziestu latach wywieszano kandydatów niejako z okna, a lud ich wybierał. Wybierał ich w imię solidarności katolickiej. A teraz gdy lud polski chce kandydata z pomiędzy siebie, jak się zachowuje w obec niego pewna część katolików niemieckich? Jak się obeszło zebranie górskie z wyborcami polskimi, którzy w obronie p. Królika występowali?! Wyborcy polscy, oburzcie się do żywego na takie postępowanie przeciwników. Agitujcie pomiędzy sobą żywo za Królikiem!“

Wobec tego stanowiska centrowców widoki, aby p. Królik został posłem, maleją.

Berliński „*Narodowiec*“ pisze o polityce „*Katolika*“ między innemi:

„Z energicznego kroku centrowców bardzo się cieszą liberałowie niemieccy różnego pokroju. „Voss. Ztg.“, woła n. p. z radością, że „nareszcie centrum czyni, co dawno powinno było zrobić.“ Przekonało się widać centrum, wywodzi dalej „Voss. Ztg.“, że można ugiąć karku p. Napieralskiemu. Odrzuciwszy teraz „lalkę“ wysuniętą przedtem, górnika Królika, zapewne centrum załatwi się krótko z resztką dążności polskich p. Napieralskiego.

„V. Ztg.“ myli się, twierdząc, że centrum dawno powinno było zrobić, co teraz czyni. Centrum wiedziało, że potrzebuje „lalki“ dla przynęcenia i przytrzymania czytelników „Katolika“; teraz przygotowawszy grunt wśród licznych czytelników „Katolika“, może sobie postąpić śmiało i zniżyć też redaktora tego pisma do rzędu lalki chińskiej kiwającej!“

W rubryce „Z tygodnia“ donosiliśmy w ostatnim numerze, iż kilka pism niemieckich w sposób jaknajnieprzyzwoitszy poruszyło i rozmazuje kwestyą wyboru przyszłego arcypasterza gnieźnieńsko-poznańskiego, jakby nie mogły doczekać zgonu Najprzew. X. dr. Stablewskiego, i jakby godziło za jego życia zajmować się tą kwestyą. Już to ze strony Niemców nawet najprostszej przyzwoitości i taktu oczekiwać nie można!

Dobrą odprawę dał prasie niemieckiej „*Dzienn. Berl.*“ który o dyskusyi tej tak pisze:

„Jest to oczywiście muzyka przyszłości, ale elaborat ten zdradza, w jakim kierunku idą życzenia odnośnych czynników. Obecne przysyłanie się ich do Watykanu nie jest wpływem chwilowego sentymentu, ale pochodzi niewątpliwie z politycznego obrachunku. Może on jednak, o ile tu w grę wchodzi ludność polska, zawieść zupełnie. Politycznie i narodowo jest ona już dziś zbyt samodzielną, żeby słuchać miała wskazówek lub rozkazów w tej dziedzinie ze strony władzy duchownej, sprawowanej, — co nie daj Boże! — przez Niemca. Najgorzej by zaś na tym obrachunku wyszła sprawa religijna, bo ponowne zamianowanie Niemca Arcybiskupem w Poznaniu i hurtowny import niemieckich zakonników w celach germanizacyjnych wywołałyby w całej archidyecezyi ogromne wrzenie umysłów i zmniejszyłyby może zaufanie do czynników, które z politycznych pobudek uległy parciu z Berlina i na ponowną prowokacyą uczuć ludności polskiej zezwoliły.

Miejmy nadzieję, że w interesie religii to nie nastąpi, że Stolica Apostolska, znając wierność i przywiązanie ludności polskiej do wiary i jej głosicieli, nieprzedawnionych praw tej ludności do tronu św. Wojciecha nie pozwoli poruszyć i że w danym razie stawi uroszczeniom, któreby z stolicy arcybiskupiej w Poznaniu chciały zrobić narzędzie do germanizacyjnych eksperymentów, jaknajenergiczniejszy opór!“

Red.

Głosy od przyjaciół.

Z pod Wronk, 15 maja.

W jednym z ostatnich numerów „Kuryera Pozn.“ pojawiła się niedawno alarmująca wiadomość o pożarze, który nawiedził starożytny kościół poklasztorny we Wronkach w W. Sobotę. Opinia publiczna poruszona została przesadnym opisem tego, jak w oczach zebranego tłumu „paliła się Hostya z Monstracyą“ i t. d.

Otóż to się nazywa zrobić z muchy słonia.

Będąc często we Wronkach i poinformowawszy się dokładnie, mogę o wypadku zaszłym dać Czytelnikom wiarogodną relacyą.

Klasztor wroniecki należy do starszych zabytków architektury w Polsce, gdyż już w XIII wieku istniał w posiadaniu OO. Dominikanów, obdarzony licznymi przywilejami królów polskich. Powątpiewając o tak wczesnem założeniu klasztoru we Wronkach, historyk kościołów naszych, Łukaszewicz, wyznacza wszakże dopiero wiek XV jako epokę, w której powstał ten klasztor. Bądź co bądź, odnowiony gruntownie w drugiej połowie zeszłego stulecia, a mianowicie przez zmarłego niedawno O. reformata Mulsofa, kościół i klasztorny budynek po dziś dzień przedstawia ją się okazale.

Nic przeto dziwnego, że cała okolica czcią wielką zawsze otaczała i dziś jeszcze otacza ten piękny zabytek drogiej każdemu przyszłości.

Tem bardziej się zatrwożono, gdy polujący na sensacyą jakiś reporter podał wiadomość o pożarze i ogromnych stratach z tego powodu powstałych.

W istocie zaś rzecz się przedstawia inaczej.

W. W. Sobotę po odprawieniu odnośnego nabożeństwa miano ołtarze świeżo ozdobić i czystemi pozakrywać obrusami. Robota ta kilka godzin wymagała czasu, tak iż ktoś zawsze musiał być w kościele. Podczas gdy w południe i ci na chwilę, aby się posilić obiadem, opuścili kościół, prawdopodobnie od jednej ze świec wiatr powstały może przez zamykanie drzwi przerzucił płomień na muśliny i obrusy, tak że od razu stanęły w płomieniach. Jednakowoż, że zakrystyan mieszka tuż przy zakrystyi, oraz że na podwórzu klasztornem byli ludzie, którzy spostrzegli blask ognia, wydobywający się przez okno, nad grobem się znajdujące, niezwłocznie za pomocą kilku wiader wody ogień zalano.

Szkody pewne są, naturalnie, lecz kościół był zabezpieczony, tak że n. p. okno i ołtarz, przy którym grób się znajdował, o ile doznały uszkodzeń, szkoda zostanie powetowana. Zniszczonych zostało trochę obrusów, drewniane sztalugi grobu. Jedyną najważniejszą stratą, której nie pokrywa zabezpieczenie, przedstawia monstrancya, która została uszkodzona, wszakże nie tak, aby nie można jej było naprawić.

Że jednak rezurekcya przyjętym zwyczajem wieczorem nie mogła się odbyć, przeto całemu pożarowi nadano rozmiary większe, tem bardziej, że jakiś spekulant na sensacyę zaraz uderzył na alarm. Nie zna on widocznie ducha polskiego ludu i przywiązania jego do ojczystej wiary, jeżli sądzi, że gdyby istotnie byli świadkowie palenia się Hostyi w Monstrancyi — niktby nie znalazł się, aby z płomieni wyrwać świętość. Przynajmniej we Wronkach nie ma takich — z wyjątkiem owego korespondenta.

N. N.

Lipsk, dnia 15 maja.

Ostatnie półrocze *Towarzystwa przemysłowców polskich* odznaczało się, dzięki pomocy kilku inteligentnych przyjaciół, zajmującemi posiedzeniami. Wypełnione one były, obok innych dorywczych pouczań, przeważnie odczytami z kosmografii i to w sposób przystępny i poglądowy. Ożywiona dyskusya po danym odczycie była niejako uzupełnieniem jego i dowodem, że prelegent nie na próżno podjął się mozolnej pracy.

Towarzystwo opiera się na toleraneyi i uszanowaniu przekonań religijnych, społecznych i politycznych czyli na zasadzie ogólnoludzkiej, która bynajmniej nie osłabia dążności na-

rodowych, ale potęguje je. W naszem kółku jest zatem miejsce dla każdego uczciwego rodaka; w niem nikt nie narzuca swego zapatrywania, lecz jeden drugiego usiłuje przekonać w przedmiotowy sposób o racyi swego zdania, bez uniesienia się lub urazy. Przedewszystkiem nie zapominamy, co jako polskie tow. społeczeństwu naszemu winni jesteśmy.

Głównie zachodzi nagląca potrzeba ratowania niewinnych ofiar polityki germanizacyjnej od całkowitego wynarodowienia a są towarzystwa, których ustawy dozwalają pielęgnowanie języka ojczystego!

U nas w Lipsku panują takie stosunki. Towarzystwo przemysł., które od blisko dwudziestu lat wiernie naszemu ogółowi służy, z powodu zbyt wielkiej ilości tutejszych tow. nie może się należycie rozwijać, i gdyby, nie wspomnienia, objawy życia jego tak samo byłyby słabe jak tych nowych towarzystw, które z pożądanym skutkiem pracować nie mogą. Iakkolwiek one w chwalebnych zamiarach zawiązane zostały przez rodaków nie znających miejscowych stosunków w kolonii polskiej, musimy, oparci na doświadczeniu, z ostatnich lat, otwarcie powiedzieć, że są tu zbyteczne. Zamiast skupiać nasze słabe siły dzielimy je, a tu i tam nie podobna należeć, bo nie stać nas na tyle czasu i ofiar materyalnych. Nie zapomnijmy też, że przebywając na obczyźnie, naszym obowiązkiem także jest, czas poświęcić i na to, aby i od obcych w czemkolwiek korzystać, by wróciwszy do kraju, obrócić te doświadczenia na pożytek własnego społeczeństwa. Tow. o słabem życiu wcale nie działają dodatnio na obojętnych rodaków, których i tutaj nie brak.

Są tu niestety między nami rodacy, na których nie pozostawiły żadnego śladu ani Września i Kroże ani inne wstrząsające nie tylko polską ale w ogóle ludzką duszą wypadki. Oni nie doznają żadnego bólu nad krzywdami nam wyrządzonemi, ani nie biorą udziału w tej dumie i weselu z postępów w życiu naszem społecznem i duchowem, które świadczą o żywotności naszej.

Rodacy! Zamiast rozstrzeliwać i rozdrabniać nasze siły i niezgodnie wrota otwierać, wzmocnijmy stare tow., pogłębmy ich pracę, a znajdą się i siły i odpowiedni zarząd. A będą one w stanie zaimponować tym obojętnym, w których egoizm jeszcze całkiem nie zatłumił poczucia narodowego. Kto z nami nie idzie, ten przeciw nam! W jedności nasza siła i przyszłość. Powtarzajmy mniej to hasło, za to usiłujmy zamienić je w czyn pojmując należycie posłannictwo towarzystw polskich na obczyźnie.

Paweł Adamczewski.

Nowy regulamin wyborczy

dla komitetów wyborczych W. Księstwa Poznańskiego.

(Dokończenie.)

Artykuł szósty.

Walne zebranie delegatów.

§ 22. Delegatem powiatowym, wybieranym na walnych zebraniach powiatowych, może zostać każdy wyborca, nie będący członkiem Komitetu prowincyalnego.

§ 23. Delegat zastępuje powiat na walnem zebraniu delegatów W. Księstwa Poznańskiego i winien przy przedstawieniu kandydatów poselskich trzymać się uchwał walnego zebrania powiatowego. — W razie, gdyby jaki okręg wyborczy nie był wcale reprezentowany na walnem zebraniu delegatów, wtedy zastępuje tenże okręg przewodniczący walnego zebrania delegatów, ale tylko z prawem jednego głosu, bez względu na ilość powiatów, składających okręg nie reprezentowany.

§ 24. Na wezwanie Komitetu prowincyalnego zjeżdżają się delegaci powiatowi lub ich zastępcy do Poznania, i wspólnie z Komitetem prowincyalnym stanowią najwyższą wyborczą władzę. Zastępca delegata bierze udział we walnem zebraniu tylko w razie nieobecności delegata, którego jest zastępcą.

Na walnych zebraniach delegatów przewodniczy prezes Komitetu prowincyalnego lub jego zastępca, a w razie nieobecności obydwóch najstarszy wiekiem członek Komitetu prowincyalnego. W razie równości głosów ma głos rozstrzygający przewodniczący walnego zebrania z wyjątkiem zastrzeżeń § 7 objętych.

§ 25. Po zagajeniu walnego zebrania delegaci zapisują swe nazwiska i legitymują się protokółami walnych zebrań powiatowych, o ile te protokóły Komitetowi jeszcze nadesłane nie zostały. Komitet prowincyalny sprawdza ważność wyborów delegata i przedstawia wątpliwości swe do rozstrzygnięcia walnemu zebraniu delegatów, poczem delegaci przystępują w pierwszym rzędzie do wyborów kandydatów poselskich w sposób następujący:

Przewodniczący zebrania, trzymając się porządku okręgów według prawdopodobnej pewności przeprowadzenia polskiego kandydata, wzywa delegatów poszczególnych okręgów, aby porozumiawszy się między sobą, z liczby kandydatów, postawionych przez odnośne zebrania powiatowe, przedstawili walnemu zebraniu delegatów tylu kandydatów, ilu na okręg wyborczy przypadą, trzymając się ściśle porządku, w jakim kandydatury przez powiaty postawione zostały. W razie równości głosów rozstrzyga los, wyciągnięty ręką przewodniczącego.

Kandydatów wymienionych przez delegatów każdego okręgu poddaje przewodniczący kolejno pod balotowanie, w którem udział biorą tylko delegaci wszystkich powiatów.



Wojsko „rosyjskie w Mandżuryi.

DRUKIEM „PRACY.“

Dział illustrowany





Duch Kazimierza Wielkiego.

Kiedy duch Kazimierza, stanął nad brzegiem rzeki, snuły się tam tłumy dusz wszelkich.

A przez te łąki idą dusze
pochodów ciągiem nieprzerwanym,
aż wstąpią w wody białe;
aż hen przepadłe w wodne głusze,
odmętem rwane niewstrzymanym,
przepomną życie całe,
przepomną życia skarg i mąk,
przepomną klęsk, pognębień.
I myją brudy krwawe z rąk,
aż, czyste, do pogłębień
podziemnych zestąpią.
I jeszcze w mgłach oparnych z łąk
na darniach ległe ciała kopią;
i idą dalej, przemienione
w stepy bezkreśne, nieskończone,
a kwiaty im rosną, gdzie stąpią.

Idąc za przykładem tych smętnych duchów, i duch Kazimierza pochylił się nad rzeką, by z niej „dłonią, jak czarą“ zaczerpnąć wody zapomnienia, gdy naraz rozległ się „głos ogromny,“ topiel rzeczna rozpadła się olbrzymiem pęknięciem, wody się rozstąpiły na chwilę, tak iż ukazało mu się dno rzeki, a na dnie, na spodzie łożyska „w namułach, glebie, żwirach,“ ujrzał

Jako tam wszystkie Zła i Zbrodnie legły,
i jak jaszczury potworne ich strzegły.

Była to jedna skłębiona „cieśń tworów, ciał wężych, pniów i konarów drzewnych,“ których tysiączne ramiona oplatały cały tłum ludzi „o twarzach w bólu strasznym, który kona wciąż.“

I zrozumiałem, co chciałem uczynić,
czerpając wody: zapomnieć, zawinić.

Zawinić? Czemu? Bo pragnąc zapomnieć, łaknął spokoju, chciał zbyć się ciężaru, chciał stać się duszą,

jak dziecko czystą i niewinną,
nie znać, co będzie, i nie znać, co było,
żyć chwilą czasów jedną, wieczno-płynną,
co jest dla myśli i działań — mogiłą,
bez czucia, bólu, radości, pamięci,
jak Bogi nieśmiertelne, jak pół — świcę.

Jednem słowem, chciał zapomnieć o tem wszystkiem, czego ponurem widziadłem były te „wryte ciałami w piasek“ duchy na dnie rzeki, „wiekami wielu jęczące w zamknięciu kajdan,“ zalane wodą rzeki „tłoczącej ciężarem bielma,“ nie mogące chwytać blasku, ni tchu... On chciał zapomnieć o wszystkiem, stać się „jak Bogi nieśmiertelne,“ i to w chwili właśnie,

Gdy to, co w życiu zdziałano skończonem,
gdyśmy we walkach padali przeklęci,
z tą samą mocą i tą samą siłą,
po wieki swoje zbrodnie upamiętnia
w tem dnie przeklętej prawdy wiekuistej,
i nowym tortur zaplotem uwstrętnia
głąb tę odmętną czeluści nieczystej.

Duchom tym, „na wielkie męki wydanym oddawna,“ należało się jakieś ukojenie, należała się pamięć o nich, należało się współczucie. Dlatego w chwili, gdy już miał zaczerpnąć letejskiej wody zapomnienia, zagrzmiał nad nim „gromki głos“ wodnej mary, co wystąpiła z rzeki, głos, który „huczał wichrem,“ a grzmiał tak, że „ryk po falach szedł dalekosiężny.“

— Wracaj! — wołała straszna mara. Powracaj!

„Wracaj!“ Bo oto dzień twojego pogrzebu,
I twojej Śmierci drugiej i twa Dola
Dla Cię wybrana...“
„Powracaj!“ I już znikła dla mnie rzeka....
„Wracaj!“ Już znikła i łąka daleka...

I powrócił. Ale męczarnią dlań był ten niespodziewany powrót.

W jakichś ugorach, rozoranych polach,
błąkam się znowu i wlokę spieszący,
i wciąż ten słyszę głos: „powracaj!“ w polach,
w poświstach wichrów nademną grający...
Idę, a trudem nogi więzgną, w bólach
gnę się, upadam, a spieszę...

W końcu znalazł się w ciemni gro-

bowca na Wawelu, w tym samym, gdzie go niegdyś „w szkarłatach powito w złotej trumnie...“

Powietrza! Tchu! Jakby ciasnemi
jestem ujęty ściany, uwięziony —
więzgną mi ręce, w ruchu zesztywniałe,
z przed oczu znikły te odległe skłony
przestrzenne.. Czuję się zamknięty w skałę,
w kość czołną wżarty wrąb ciężkiej korony,
a w ręku berło jakoweś spruchniałe,
i czuję, że je kościec, nie dłoń trzyma,
i że się kończy kość, gdy silniej ima,
...w straszne ciemnie.
Oczy się patrzą w pustkę czarną, ciasną,
choć kośćmi jamę rozprzeć! Nadaremnie...
Tuż nad mem ciałem kamienie tarasną
zaporą zamkły grobowe sklepienia.
Tchu! Tchu!...
Wtem usłyszałem jakby do grobowca
stukanie...
I jakby się obsuwał złom granitu.
Uczułem, że się łyska wierzch pokrowca
złotemi nićmi od jakiegoś świtu,
znów woń kadzideł palonych z jałowca,
i jakiś strop z gwiazdami i z błękitu...
W kościele byłem trup, więcem się wzdrygnął,
gdy naraz kamień tumby ktoś podźwignął.

Następuje opis tego momentu, który Matejko odtworzył na swem „Wnętrzu grobu Kazimierza,“ gdy przez otwór zagląda głowa młodego chłopca, oświetlając sobie pochodnią wnętrze grobu. Wyspiański, ulubiony uczeń Matejki, trzymał się w tym opisie wiernie obrazu swojego mistrza.

Tu, gdzie leżałem ja, w grobu pomroczy,
pochodni łuna zajrzała gorąca,
i nawprost oczu moich czyjeś oczy,
i twarz w wyłomie muru płomieniąca..
W zorzach się ludzi cichych kilku tłoczy,
żarem się runi twarz moja jaśniąca:
próchno, zbutwiałe stroje, szata zgniła
nagłą purpurą ognia się paliła.
I to raz zajrzy ktoś, to się odchyli,
raz buchnie światło prędsze, to znów gaśnie...
I głowa czyjaś inna.. Patrzą, czyli
jestem? bo moje imię szepcą właśnie,
kilku, bo żywo słowami gwarzyli...
znów kamień ważą taranem hałaśnie:
spadł: oni oto naraz zmilkli, dyszą:
— Ujrzeli, jakom jest grobem i ciszą...
Doczesności się moje skończyły?
Więc jużem w proch się starł i w pył się
(skruszył?

Loch grobu czarny i zgnilizna — oto wszystko, co pozostało po Wielkim Królu.

Korona Twoim próchnom marnym kłamie,
co było w Tobie potęgą — umarło.
Król-żeś Ty? próchnem łyska zeschłe ramię!

Jakoż wrażenie, które widok tego królapróchna uczynił na obecnych, miało w sobie coś ze zgrozy...

Stała tych ludzi półkolem gromadka:
jedni tarany dzierżą, kute młoty,
— jakaś obłąkana bezpańska czeladka —
inni papierów kliki, kreślą noty,
sprawdzają, biorą gromnic żar na świadka,
to ku koronie łysną, na pozłoty
w pół biedrza, wszędy ciekawi i skrzętni,
aż ustali... Już tylko na mnie patrzą, smętni.

Wreszcie ksiądz zanucił nad prochami „umarłych Wilije,“ poczem wszedł do grobowca człowiek jakiś, „taki dziwny, że i mnie (opowiada Król duch,) chociem król, a dreszcz przejmował.“

Był mały, jako ludzie ciałem drobni,
i przygarbiony, nie wiekiem, lecz pracą;
był z tych, którzy są aniołom podobni,
których żywoty wiele wykołacą,
gdy się w nich święta miłość odosobni,
gotowi się poświęcać, mając za co...

Że mowa tu o Matejce, domyślić się nie trudno.

Do pocałunku głowę schylił w długich lokach,
z oczu mu gorzał żar... taki w prorokach.

Człowiek ten, co „ślubował wskrzeszać narodu Gloryje,“ przyglądając się szczątkom królewskim, dotykając się ich szat zbutwiałych, czynił to z takiem namaszczeniem,

Jakby w me ręce składał serce czyje,
jakby mię prosił o co, czy dziękował..
spowiadał mi się z bólu i żałości,
szeptał o jakiejś ofierze miłości.

„Patrzył się na mnie i taką wymową serca skarżył się tym „schnącym kościom,“ że mu łzy pociekły z oczu i zwilżyły zbutwiały łachman królewskiej purpury...

Ale potężny duch Kazimierza nie umiał zdać sobie sprawy z nastroju chwili, nie rozumiał. co znaczyły te jakieś dziwne skargi w ustach tego szczególnego człowieka-proroka, który sobie postawił za cel: „wskrzeszać narodu Gloryje“:

Nie rozumiałem, co mówił, co szeptał?
Jakież to chwały wskrzeszać, gdzie zapadłe?
Któż sławę ich pohańbił i podeptał?
Gdzie króle, moi następcy dziedziczni?
Jakie ofiary, miłości przepadłe?...
Czemuż ci, jakby wszyscy, choć nieliczni,
tacy powagą starzy...
Jakież ubiorki ich czarne, żałobne!

Co się stało, że „jedne im oczy, te łzami ozdobne, jak perły czyste i niepokalane“? Dlaczego ich postawy takie „uroczyste, skromne“? Co znaczy to wszystko?.. I dopiero, kiedy im się przyjrzał bliżej, dostrzegł,

Że światłość na ich czołach posłannicza,
że w serca szpona się wpiła zbrodnicza
zawodów, męczeństw, że klęski pogromne,
wielką nad nimi zaciążyły chmurą...

Tymczasem zabrano się do wyjmowania szczątków królewskich, by je złożyć w nowej trumnie.

Potem te kości moje ktoś wybierał,
podawał tym, co na kościele stali.
lecz jakiś dziwny żal z ócz im pozierał,
tacy byli strwożeni, nieśmiali,
jakby mniemając, żem znowu umierał,
gdy mię w sosnową trumienkę chowali,
. . . .
A każda moja kość była nazwana,
przez te ich ręce przesuwana drżące...
. . . .
Aż gdy mi i koronę zdjęto z czoła,
pojąłem . . . .
. . . . . . że rozerwana
jest wielka Miłość, a duchy w nich śpiące
tak się skarżyły, tak były płaczące,
że prawiem szedł przez ręce ich bezwiedne
sam — i poznałem te dusze spowiedne.
Jako w wichrowym locie płaczą drzewa
brzozy, a liścia warkoczem się skarżą,
jako po starych dzwonnicach wichr śpiewa;
jako nad trupemległych konie zarżą,
jak wody, gdy się ścina w lód polewa,
skargami jęczą i żalą się ze dna:
tak w nich dźwięczała w sercach skarga
(jedna
. . . .

Skarga ta — to jeden z najbardziej natchnionych ustępów rapsodu:

Otośmy drzewa na jesiennej słocie
i kłosy zżęte, rzucone na wichrze;
kłosów się snopy, ponurzone w błocie,
walają, przeto skargi wstydem cichsze;
i noc, straszliwa noc dla ducha ciąży,
a duszy zapęd rwie, nie wie, gdzie dąży.

Skarga ta, godna złotego pióra Słowackiego, w osłupienie wprawia Kazimierzowego Króla-Ducha, bo „wszakci tu było szczęście ogromne,“ gdy ongi, jako „Król-chłopów,“ panował z tego wawelskiego zamku: państwo było silne, w pełnym rozkwicie, stany żyły w zgodzie, a wszystkim poddanym grała w duszy:

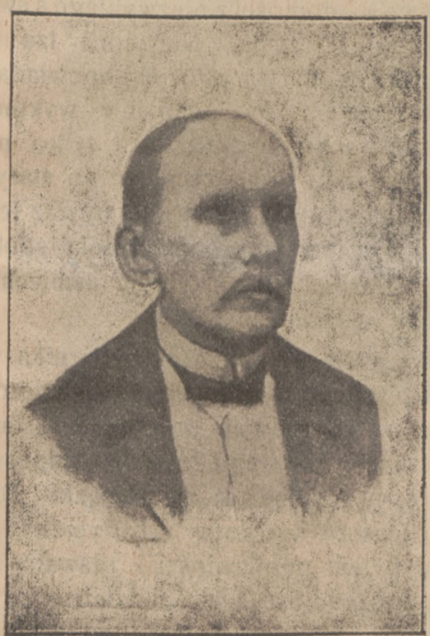
Święta pieśń szczęścia, co się w każdym śpiewa,
choć o tem nie wie, ale przed się czuje,
że szczęście jest, co w piersiach się przelewa,
I myślom z chaty pałace buduje..

F. Hoesick.

Z żałobnej karty.

W Warszawie zakończył żywot doczesny w początku bieżącego miesiąca wybitny literat i i publicysta śp. Ludwik Jenike.

Urodził się w Warszawie roku 1818, gdzie też i gimnazyum praktyczno-pedagogiczne ukończył. Po zdaniu egzaminu dojrzałości uniwersyteckiej, mając zaledwie lat 16, wszedł na aplikacyę do biura Izby Obrachunkowej. Od lat najmłodszych czuł pociąg do literatury, to też w dwudziestym roku życia zaczął już pisywać artykuły pomniejsze do „Gazety Warszawskiej" i „Codziennej," a od r. 1840 do „Biblioteki Warszawskiej." W r. 1852 objął redakcyę miesięcznika, wydawanego przez Merzbacha pt. „Księga świata" i opracował dwutomową „Historyę nowożytną" podług Rottecka (Warszawa, 1852.) Od r. 1859 był redaktorem „Tygodnika



Ś. p. Ludwik Jenike.

Illustrowanego" i na tem stanowisku przebył lat 27, tj. do końca r. 1886. Z bardzo wielu artykułów Jenikego na wyróżnienie zasługują: Stenografia polska („Bibl. Warsz." 1858), Meteor w piśmiennictwie niemieckiem („Bibl. Warsz." 1891), Słówko o ustaleniu pisowni polskiej („Bibl. Warsz. 1892), Göthe, jako liryk i gnomik (Ateneum, 1897). Z prac oryginalnych wydał: O znaczeniu rytmu w poezyi (1865); Stefan Czarniecki, urywek historyczny (1891); Kronika Zboru Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie (1891); Młodość Göthego (1897). Z przekładów na wyróżnienie zasługują: Göthego Torquato Tasso (1861); Ifigenia w Taurydzie (1863); Herman i Dorota (1872); Reineke Lis (1877), Faust (1888 i 1892); Wybór pism (1889); Z mojego życia (1895); Pandora (1898). Z poezyi Körnera przełomaczył Zriny (1867 i 1892).

Pokolenie ludzi, z których szczupłego już dziś szeregu ubył śp. Ludwik Jenike, szło przez życie z nieprzezwyciężonym idealizmem. Nie zdołały zachwiać koleje lat, nie wstrząsnęły nimi rozczarowania i zwątpienia, choć ich nie mogło braknąć. Byli po bratersku do siebie podobni w sposobie czucia i myślenia, wytrwali w działaniu, zapalni w miłości dobra publicznego, niezachwiani w nadziei, krzepcy w wierze, nieprzebrani w zaufaniu w wyższe przeznaczenia ludzkiej natury.

Tchnienia romantyzmu kołysały ich kolebkę, ożywiały młodość, nasycały duszę poezyą, nie tą, co trawi się w słowach i wierszach, ale poezyą życia i pracy: najpowszedniejszym ich zajęciom, najcichszym ich trudom nadawało to wyjątkowy urok i blask, na który dziś patrzymy zdziwieniem i zazdrością, niezdolni często z naszych nizin sceptycyzmu i praktyczności wznieść się na wyżynę ich poglądu na świat.

Ludwik Jenike, poświęcając się literaturze i publicystyce w połowie ubiegłego wieku, wniósł do podjętej pracy tyle zamiłowania i szlachetności, taką czystość pióra i jasność sądu, takie trafne odczucie potrzeb duchowych czytającego ogółu, że wytworzył jedną z najpiękniejszych tradycyi, ku której zawsze jako na wzór wskazywać się u nas będzie Nietylko żadnej plamy, ale nawet żadnego błędu nie ma na sobie publicystyczna działalność Jenikego, tak jak żadnego zboczenia i żadnej brzydoty nie ma w sobie jego działalność literacka.

Zasługi Jenikego są liczne i znaczące; do najbardziej godnych uznania należy dbałość, z jaką w piśmie przez siebie redagowanem starał się nietylko skupić wszystkie wybitniejsze pióra polskie i polskie ołówki, lecz także stworzyć skarbnicę pamiątek i obrazów przeszłości. Wizerunki zabytków, oraz studya etnograficzne i krajoznawcze, które wypełniały roczniki „Tygodnika Illustrowanego" z czasów redakcyi Jenikego, uratowały od zapomnienia wiele szczegółów, zacierających się zwolna w teraźniejszości.

Jako tłómacz arcydzieł Göthego umiał nadawać piękną i wytworną szatę polską myślom jednego z największych geniuszów świata, jako estetyk uczynił dużo trafnych spostrzeżeń i ustalił kilka cennych prawideł w zakresie rytmiki polskiej poezyi.

W działalności obywatelskiej pełen oddania się, pracowitości i świadomości celów, zaskarbił sobie śp. Jenike cześć wszystkich, którzy w ciągu czterdziestoletniej epoki spotykali się z jego skromną postacią czy to przy biurku redakcyjnem, czy przy stole narad kolegium ewangelickiego, czy w kasie literackiej przy Tow. dobroczynności, czy na sesyach komitetu budowy pomnika Mickiewicza lub wydawnictwa dzieł Kochanowskiego.

To też bardzo liczny był orszak tych, którzy poszli oddać ostatnią posługę starcowi, co jak kłos dojrzały ścięty został sierpem Pańskim, bujnie i pięknie spełniwszy przeznaczenie życia.

—ski.

Z chwili.

Ustąpienie namiestnika galicyjskiego, Leona hr. Pinińskiego, jest faktem dokonanym. Umysł wytworny, europejski, wybitna inteligencya — hr. Piniński nie znalazł sił i energii do kierowania nawą galicyjską i w wielu sprawach ster zupełnie z rąk wypuszczał...



Leon hr. Piniński.

Hr. Piniński złoży urząd, namiestnika Galicyi w połowie czerwca r. b. a miejsce jego obejmie Andrzej hr. Potocki, obecny marszałek krajowy galicyjski. Na innem miejscu w dziale politycznym zamieszczamy list naszego galicyjskiego współpracownika o nowym marszałku. Stanowisko hr. Potockiego zajmie prawdopodobnie St. hr. Stadnicki.

Portrety Leona hr. Pinińskiego i Andrzeja hr. Potockiego zamieszczamy jednocześnie.

—ski.

Wspomnienie.

Raz widziałem dziewcze złotowłose,
W cichej parku leśnego ustroni;
Na wiatr złotą rozpuściła kosę,
Co miłośnie tuliła się do niej,



Andrzej hr. Potocki.

I więziły ją promienne groty,
W złotych blasków słonecznej poświacie,
Że się sama zdała jak sen złoty
W blasków gronie, w tęczowych skier
[szacie.

I tak stała pod słońca namiotem,
Nieruchomie, przeczysta i biała,
Blask słoneczny otoczył ją złotem,
I czerwoność płomienna oblała,
I zdawało się wtedy, że śpiewne
Wiatru tchnienia ją lekko kołyszą,
Tak zaklętą snów moich królewnę,
Otoczyły urokiem i ciszą.

Nie mówiła — i oczy swe duże,
Z jakimś niemym w dal stała wyrazem.
I ust świeżych czarowne dwie róże,
Rozchyliła tak cudne, że głazem
Być by trzeba, by widząc ją złotą
W blaskach słońca i ponęt rozkwicie,
Nie rozpłonąć promienną tęsknotą,
I nie klęknąć w upojeń zachwycie.

Och! te oczy płomienne jak zorza,
Gdy się rankiem rozpala promienna, —
Taka jasność z nich leje się Boża,
I moc taka bezbrzezna a senna.
I jak zorzy tej odblask upada,
Na te płowe wkrąg ziemskie obszary,
Zda się błysków zbudzona kaskada,
Tchnie tajemne uroki i czary, —

Tak jej oczu przepastnych głębiny,
Gdy się z mojem spotkały wejrzeniem,
Życia mego szlak mglisty i siny,
Rozświeciły niebiańskim promieniem.
Stój jak mgnienie skrzydlata ty, chwilo,
W niewstrzymanym na chwilę stój biegu,
Nim się jawy kotary odchylą,
Nim wichr fale zamąci u brzegu.

Stój tak chwilę, śnie cudny na jawie,
Stój tak chwilę, dzieweczko ty biała,
Z temi oczu gwiazdami ciekawie
Wpatrzonemi w grę światła, co pała,
Z temi usty, co śmiech je rozchyla,
Z złotem włosów, co kryją ramiona,
Stój tak chwilę... i niechaj trwa chwila,
Nim czar pryśnie, nim złoty sen skona.

. . . .

Hej, hej, wiele pod cichą mogiłą,
Żądz spoczęło, lub zbiegło w złud kraje,
I łez przyschło i znów się przyśniło.
Jeden tylko sen złoty mi wstaje:
I znów widzę dziewcze jasnowłose,
Z smutnym wzrokiem, z zadumanem
[skroniem,
I na twarzy czuję gorzką rosę,
I nie mogę zapomnieć już o niem!...

Feliks Witold Nowicki.

Powieściopisarz wynalazcą.

P. Kazimierz Rosinkiewicz, sekretarz politechniki lwowskiej, znany od kilku lat, jako powieściopisarz, pisujący pod pseudonimem Kazimierza Hojana, posiada nietylko talent literacki, ale wynalazczy. Od dość dawna już pracował p. Rosinkiewicz nad skonstruowaniem machiny do składania i rozbierania czcionek, którą wreszcie zbudował.

Machina nie jest nowością. Pomysłów podobnych uskuteczniono już w rozmaitych krajach, a zwłaszcza w Niemczech i Anglii tyle, że machina zecerska, mająca za zadanie zastąpić automatem pracę żywego człowieka, posiada już swoją obfitą historyę. Wszystkie jednak dotychczasowe pomysły okazywały się w zastosowaniu z rozmaitych przyczyn niepraktyczne, lub tak kosztowne, że nie opłaciło się ich realizować. Pomysł zaś p. Rosinkiewicza, według zdania znawców, ma stanowczą wyższość nad innymi. Okazuje się to z porównania, które podajemy na odpowiedzialność wynalazcy. Otóż dotychczasowa najlepsza, amerykańska maszyna Mergenthalera, zapomocą której można złożyć w godzinie około 5000 czcionek, kosztuje 15.000 marek. Po wykonaniu druku podlegają czcionki stopieniu i odlewa się je na nowo. Maszyna p. Rosinkiewicza składa nieco mniejszą ilość czcionek, a rozbiera przeszło 10000 w godzinie, tj. przeszło 30 razy więcej, aniżeli jeden robotnik zdoła rozebrać w tym czasie. Różnica w kosztach jest bardzo znaczna, gdyż obie maszyny p. Rosinkiewicza kosztuj tylko 3000 złr. Zaletą ich jest także to, że można drukować za ich pomocą różnymi typami pisma (cicero, garmond, borgis, petit).

Wynalazek p. Rosinkiewicza został już w kilku państwach opatentowany.

I. P.

Barbara Bronisława Czarnowska.

Kadet 1-go pułku jazdy Augustowskiej w 1831 roku.

Sylwetka biograficzna

W d. 24 października 1891 r. mieszkańcy Warszawy, przechodzący przez Stare Miasto, przystawali przed dużą trzypiętrową kamienicą z n-rem 21, znaną powszechnie pod nazwą „Pod lwem“. Na jej bramie żałobnie się czerniła duża klepsydra, krótko opiewająca, że „Barbara z Czarnowskich 1-mo v. Zakrzewska i 2 do v. Żbikowska, b. obywatelka m. Warszawy, po krótkich cierpieniach, opatrzona ŚŚ. Sakramentami, zmarła w d. 23 paźdz. r. b. w wieku lat 81 i t. d.

Dobrze była znaną mieszkańcom Starego Miasta typowa postać nieboszczki, to też żywo rozprawiano o niej w coraz rosnącym przed domem tłumie. Szeptem podawano sobie z ust do ust ciekawe wiadomości z niezwykłego a świątobliwego jej życia. Nie jedna łza się stoczyła ze starych powiek opowiadającego i niejedno westchnienie wykradło się z piersi słuchacza. Lecz tylko niewielu zdołało się przecisnąć po starych wysokich schodach na piętro, by raz jeszcze spojrzeć w otoczone aureolą spokoju i rozświetlone zastygłym uśmiechem oblicze sędziwej matrony.

Wreszcie w d. 26 października po nabożeństwie u św. Jana, niezliczony tłum, wśród którego przeważali „starzy mieszkańcy“ Starego Miasta, odprowadził ś. p. Żbikowską na Powązki. Dnia tego jeszcze wieczorny „Kuryerek“ doniósł o tem publiczności i zdawało się, że powszedniość życia codziennego, ze śmiercią tej wyjątkowej, wyrastającej



Powieściopisarz wynalazcą.



Ciężka przeprawa. *A. J. Elsley.*

ponad tłum osoby, zatarła i pamięć o niej.

Lecz szczęściem niema na świecie zupełnego zapomnienia. Jak w świecie materyalnym nic nie ginie, tylko zmienia swą zewnętrzną formę, tak i w życiu duchowem ludzkości nic zaginąć nie zdoła. Każdy czyn — zły czy dobry — każde pragnienie, łza każda, nawet myśl każda zanuża się chwilowo w szare odmęty zapomnienia, by wcześniej lub później, po latach kilku lub po wiekach całych wypłynąć w całej swej ohydzie lub krasie, i czem były jaśniejsze, tem jaśniej, niby gwiazdy lśnić na ciemnem niebie życia. W ten sposób my znamy najtajniejsze myśli, najlżejsze „dreszcze duszy" naszych mistrzów i wielkich ludzi czynu, któreby żaden z nich, za życia swego, za żadne skarby świata nie wykrył.

I ten to brak niepamięci na świecie jest straszną karą, lub wspaniałą nagrodą za czyny.

* * *

Dopiero po latach dziesieciu, od zgonu Zbikowskiej, dzięki kilku kartom wspomnień osobistych, skreślonych drżącą ręką osiemdziesięcioletniej staruszki, paru autentycznym dokumentom i opowiadaniom jednej z jej wnuczek, możemy bliżej nieco się przyjrzeć bardzo ciekawym kolejom jej życia.

Urodziła się w dniu 4 grudnia 1810 r. we wsi Struga w pow. błońskim, gdzie rodzice jej Klemens Czarnowski, rodem z Ukrainy i Ewa ze Stokowskich z Łęczyckiego, dzierżawili niewielki folwarczek. Lata dziecinne, spędzone pod dachem „jakkolwiek niezamożnych — jak sama pisze — lecz uczciwych i ze staropolskiej szlachty rodziców" minęły spokojnie i równo, jak dzieciństwo wszystkich córek ówczesnej mniejzamożnej szlachty na prowincyi.

Dopiero w r. 1830, już jako dziewiętnastoletnia panna, Barbara Czarnowska przyjechała do Warszawy i zamieszkała u serdecznych przyjaciół rodziców jej państwa Orłowskich, (p. Orłowski był komisarzem ekonomicznym) w domu przy ul. Twardej. Traf chciał, że przyjazd ten przypadł na dzień 28 listopada, t. j. na „wigilię rewolucyi".

W dniu tym jednak nic jeszcze, wiszącej nad całą Polską, burzy nie zwiastowało. Przeddzień powstania był dniem zwykłym, codziennym, w niczem nie różniącym się od poprzednich. Ruch na ulicach Warszawy jednostajny, senny. Przechodzące od czasu do czasu oddziały wojska polskiego, lub załogi rosyjskiej na zmiany wart i pochyleni ku końskim grzywom gońce z Belwederu były ociężałe, zmęczone. Unosiła się co prawda nad Warszawą jakaś duszność przygniatająca, jakaś jakby żelazna ręka zawisła w przestrzeni, lecz duszność ta nie była ani nową, ani cięższą. Zaledwie pewna garstka przygotowywała ten wspaniały wybuch, który za dni parę miał objąć wszystkie ziemie dawnej Polski. To też wieczór 29 listopada był wielką niespodzianką zarówno dla Rosyan jak i dla samych Polaków. Dziwnem też echem odbiły o uszy Czarnowskiej i szczęk broni i strzały i wołanie: Do broni! Mieszkańcom Warszawy wołania tego nie trzeba było powtarzać, kto tylko żył, w kim serce polskie biło, wybiegał na ulice i cisnął się do bratnich szeregów.

Jeszcze tej samej nocy dom, w którym mieszkali państwo Orłowscy, został otoczony zbrojnie przez Polaków, gdyż mieszkał tu pułkownik rosyjski Zass, szef tajnej policyi. Jego nie znaleziono, był bowiem natenczas w Belwederze, natomiast znaleziono w jego mieszkaniu wiele różnych dokumentów. Nazajutrz w d. 30 listop. Zass, przysłany przez Wielkiego Księcia z obozu do Warszawy na zwiady, został poćwiartowany tuż za Żelazną Bramą, skąd zwłoki jego przeniesiono do mieszkania. Wypadek ten przeraził mieszkańców domu niezmiernie, lecz — jak sama Czarnowska pisze — zaledwie na czas krótki.

Nagłe wypowiedzenie wojny, nadspodziewanie łatwe zwycięstwo, zmiana warunków politycznych i potężny akt detronizacyi wielkiego samowładcy zwróciły uwagę wszystkich w jaśniejącą przez pryzmat własnych pragnień i nadziei promienną przyszłość kraju. A radość ogarnęła wszystkich tak wielka, że — według słów Czarnowskiej — wszyscy Polacy stanowili jakby „dom jednej wielkiej rodziny". Pełne chrześciańskich zasad i bezgranicznej miłości ojczystego kraju wychowanie, otrzymane w domu rodziców, wciąż jeszcze brzmiące echa nieśmiertelnych czynów polskich legionów, a zwłaszcza ten zapał dla świętej sprawy, porywający dokoła niej wszystkich, spowodował, że Barbara Czarnowska zapragnęła też

w czemkolwiek być pomocną krajowi. Jej żądza niesienia pomocy ukochanej nadewszystko, na równi z Bogiem w jej duszy stojącej, Ojczyźnie, była za wielką na bierne spędzanie długich dni niepokoju w cichem gronie rodzinnem na modlitwie i przygotowywaniu opatrunków dla rannych. Ona chciała czynu! A przykładem dla niej zaświeciły, coraz to głośniej powtarzane, imiona niewiast polskich, niosących na św. ołtarz Polski swe życie i walczących w szeregach obok ojców, mężów i braci... Imiona Emilii Platerówny i Maryi Roszanowiczówny, dowodzących oddziałami partyzanckimi na Litwie, przedostały się już nawet na szpalty dzienników, a imię Józefy Kluczyckiej, służącej jako starszy felczer w 10 pułku piechoty liniowej, było głośnem w całej armii polskiej.

* * *

Po długiej walce z sobą samą, pewnego dnia w ścisłej tajemnicy przed opiekunami, udała się Czarnowska do obozu na Pragę.

Pierwszym z wyższych wojskowych, którego tu spotkała, był kapitan Koncewicz, jemu też nieśmiało wyjawiła swą chęć wstąpienia do wojska. Niemłody kapitan, uważając ten projekt raczej za chwilowy wybuch dziewczęcego patryotyzmu, niż za przedsięwzięcie głębiej obmyślane, zaczął jej przedstawiać całą niestosowność tego pragnienia, tłomacząc, że tak młoda i wątła dziewczyna nigdy nie zdoła przenieść wszystkich trudów wojennych... Lecz w Czarnowskiej krew zagrała. Rozżalona zawodem znalezienia, zamiast spodziewanej pomocy, i poparcia, tylko zimną „ojcowską“ radę zaniechania przedsięwzięcia, zawołała odważnie:

— Jeżeli pan mi odradzać będzie, uważać go będę za mego złego ducha. Nie po to tu przybyłam...

— Ha, niechcę więc być pani złym duchem — odrzekł zdziwiony niepomiernie kapitan i przyrzekł dopomódz, oraz dał niezbędne wskazówki.

W parę dni potem, w granatowym mundurze wojskowym z ponsowym kołnierzem i wyłogami, z ponsową rogatywką wciśniętą na krótko ostrzyżoną główkę, oczekiwała Czarnowska na urzeczywistnienie się swych marzeń.

Stosownie do umowy dnia tego przysłał kapitan w umówione miejsce wybornie ujeżdżonego konia ze swym ordynansem. Pomimo całej stanowczości zabiło Barbarze mocniej serce i lęk ją zdjął niezmierny, gdy, w tajemnicy przed opiekunami, w smutny, dżdżysty wieczór, z ordynansem kapitana jechała do obozu na Pragę.

Gdy przyjechała — było już ciemno. Ordynans wprowadził ją do namiotu kapitana, lecz było tu pusto, gdyż gospodarz odbywał nocną placówkę. Owinęła się tedy w swój płaszcz żołnierski i usiadła w kącie w niespokojnem oczekiwaniu dalszego swego losu. Zmęczona chaotycznym natłokiem myśli, wspomnień i wzruszeń usnęła i dopiero o świcie rozbudziły ją ze snu gorączkowego czyjeś kroki. Do namiotu wszedł major Tyszko. Nie pozostawało jej nic więcej jak stanąwszy w wojskowej postawie, zameldować się jako nowoprzybyły kadet i prosić o rozkazy. Lecz pomimo munduru i krótkich włosów nie bardzo musiała być do kadeta podobną, gdyż major uśmiechnąwszy się dobrodusznie, wręcz jej owiadczył, że poznaje w niej kobietę.

Wielki przestrach ogarnął Barbarę na myśl, że major może zniweczyć jej plany, lecz ten swojem dalszem zachowaniem się tak dalece ją ujął i ośmielił, że mu wszystko wyznała. Rozrzewniony tym dowodem niezwykłego patryotyzmu, major przyrzekł jej solennie we wszystkiem dopomódz i odradził stanowczo używania w wojsku pseudonymu i uchodzenia za mężczyznę, co chciała uczynić Barbara w obawie przed rodzicami.

— Twoje dziewczęce oczy i uszy — mówił poczciwy major — nie zniosłyby tego wszystkiego, co się w obozie dzieje. Lepiej będzie, gdy przy apelu powiem kim jesteś, wtedy oficerowie czuwać będą, abyś nie była narażoną na żadną przykrość, inaczej zaś straciliby dla ciebie szacunek, żeś była świadkiem ich rozmów i czynów.

Tak się też stało. Przy wieczornym apelu ogłoszonem zostało, że od dnia tego Bronisława Czarnowska (imię jednak zmieniła z obawy przed pościgiem rodziców) została kadetem 1-go pułku jazdy Augustowskiej.

Stało się więc zadość jej najgorętszem pragnieniom, zaś w dziejach polskich zdarzył się jedyny wypadek służby kobiety w regularnej armii jawnie bez ukrywania swej płci i za zgodą władzy wojskowej*).

Michał Brensztejn.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Nie liczę tu bowiem Joanny Zubr, która, będąc markietanką przy wojsku pol. za Księstwa Warszawskiego, za męstwo otrzymała stopień sierżanta 17-go pułku piechoty i zaszczyconą została krzyżem srebrnym zasługi wojskowej.

Przestań płakać.

Przestań płakać, o dziewczyno,
I przezrocze ronić łzy, —
Próżno z ocząt one płyną,
Gdy zapachem dyszą bzy.
Złoty promień ból osuszy,
Więc rozpogódź twoją brew,
Tam z oddali z pośród głuszy
Powiew cudny niesie śpiew.
Pieśń wiośniana po dolinie,
Jak srebrzysty dźwięczy dzwon,
Płynie granie, hejże płynie!
Na wesela skoczny ton!
Drgają pęki, pełne krasy,
Woń się kłębi wkoło już, —
Przez doliny i przez lasy
Leci złoty anioł zórz.
Jako sokół mknąc skrzydlaty,
Blaskiem słońca kojąc ból,
Białą dłonią barwne kwiaty
Rozsypuje wpośród pól.
Grają pieśni — szumią drzewa —
I omdlewa bólu pieśń, —
W gaju słowik rzewnie śpiewa,
Ukojenia niosąc pieśń.
Wiosna!... wiosna!... W cudów porze
Rzuca światu milion kras!
Nawet kwiaty na ugorze
Rozmajony budzi czas!...
Przestań płakać więc, dziewczyno,
I przezrocze ronić łzy, —
Próżno z ocząt one płyną,
Gdy zapachem dyszą bzy!

Eszet.

Eugeniusz Prochaska.

We wtorek odbędzie się benefis jednego z najwybitniejszych artystów naszej sceny, pana *E. Prochaski,* który wybrał na ten wieczór słynną, pełną humoru komedyą „Pan Geldhab“ nieśmiertelnego Fredry.

P. Prochaska nie od dzisiaj jest znanym w Poznaniu. Już w r. 1894 i 95 za dyrekcyi śp. Fr. Dobrowolskiego wchodził w skład personalu sceny poznańskiej, następnie w sezonie r. 1896 i 97 występował na deskach naszej sceny i zaskarbił sobie względy Poznania pracą i rzeczywistym talentem w zakresie ról salonowych. W bieżącym sezonie ujawnił świetnie całą swą inteligencyą aktorską w komedyi szekspirowskiej „Wiele hałasu o nic,“ w której stworzył wyborny typ Benedykta, zyskując gorący poklask całej prasy poznańskiej. W tej roli zapisał się w pamięci Poznańczan, którzy świeżo oklaskiwali go jako „Mazepę.“ Nie ma prawie cenniejszej sztuki, do której powodzenia p. Prochaska nie przyłożył

by cegiełki tak, iż uważać go możemy za cenną i wybitną siłę.

Niewątpliwie publiczność wyrazi mu swe uznanie i podziękę, licznie zbierając się na widowisko wtorkowe, tem więcej, że zrośliśmy się z fredrowskim Geldhaben i z przyjemnością odświeżymy sobie w pamięci wyborną sztukę, którą zachwycali się nasi ojcowie.

Z TEATRU.

„*Na dnie życia*“ — sztuka w 4-rech aktach Maksyma Gorkija.

Na afiszu premiery z zeszłego tygodnia podpada, że dyrekcya obok polskiego tytułu umieszcza niemiecki, jakby sztuka wyszła z pod pióra jednego z synów ojczyzny Bismarcka, lub jakby chciano nam przez to dać do zrozumienia, że tłomaczenia dokonano z niemieckiego. W każdym razie należało „Nachtasyl“ przetłomaczyć dosłownie na „Przytułek nocny,“ zamiast rzecz naturalistyczną chrzcić tytułem, dającym zbyt szerokie pole do domysłów, suggestyonującym mylnie dzieło czysto psychologiczne w rodzaju Przybyszewskiego i Kisielewskiego. Zresztą w literaturze beletrystycznej i dramatycznej tak często spotykamy się z podobnymi tytułami, iż określenie „Na dnie życia“ wydaje się zużytem i banalnem. „Przytułek nocny“ zatem jest nietylko ze względu na treść, ale nawet z punktu widzenia efektownego brzmienia najodpowiedniejszym nagłówkiem, stokroć więcej zaciekawiającym, przynętniejszym — sensacyjnym.

Nie można powiedzieć, że autor wysnuł swój obraz z „dna życia,“ bo życie acz nieskończenie odmienne w przejawach, jest w gruncie rzeczy wszędzie jednakie. Jak mówi Kleszcz: „ostatecznie wszędzie są ludzie.... Zrazu nie wydaje się tak.... ale później, gdy przyjrzymy się dokładnie, okazuje się, iż wszędzie są ludzie.“ Nie z dna życia, ale raczej z podziemia społecznego, wydobył Gorkij swój obraz, sportretował z talentem twórczym galeryą różnorodnych postaci z szumowin i odpadków życia, każąc nam i w nich — „uszanować człowieka.“

Dziwaczna i przedziwna to galerya osobników z najróżniejszych sfer społecznych, o najróżniejszych temperamentach i najróżniejszej wartości etycznej. Obok buńczucznego złodzieja, który li tylko wskutek zgubnych wpływów od dziecka praktykował swe rzemiosło a zachował w mętach czystość uczuć i duszy, — przewrotna demoniczna hetera. Obok pracowitego ślusarza, którego choroba żony i bieda zapędziły do przytuliska — ex-aktor z organizmem zatrutym alkoholem.“ Obok nierządnicy, w której umyśle pokutują sceny z romansów kuchennych—baron, produkt skrofułu i wyjałowionej krwi, okaz degeneracyi rasy. Raz wykoleiwszy się i padłszy na ten śmietnik społeczny, ci ludzie nie podnoszą się już z niego. Ten i ów wprawdzie roi o innem życiu lub dąży do powrotu w ramy społeczne, wszystkim nieomal obrzydło to środowisko pełne wyziewów wódczanych, cieniów zbrodniczych i nędzy, ale — daremnie. Toną w niem, niby w wirze i pozostają, by skończyć albo od samobójczego ciosu, albo w kaźni więziennej. Wszystkich tych skazańców losu spaja potężny węzeł wspólnej nędzy oraz poczucie wyzwolenia z pętów wszelakich względów i znikomości światowych. W swem upodleniu społecznem, w swem odosobnieniu trędowatych, w zupełnem oddaniu się na łaskę losu — stoją oni poniekąd wyżej od mrowia społecznego. Zdają się bowiem tworzyć odrębną grupę w jakimś zaświatku mrocznym gdzie nie sięgają echa walki o byt i trosk światowych, gdzie panuje bierność, stoicyzm i — przeznaczenie.

Widz, niewyszkolony na dobrej literaturze realistycznej, szuka końca sztuki i doznaje rozczarowania, nie znajdując go. Bo „Na dnie życia“ tak, jak „Mieszczanie“ to dramat ściśle biorąc bez wątka, bez bohaterów. W jednym dramacie tkwi kilka dramatów, każda postać nosi w piersi — dramat, a wszystkie razem składają się na mozajkę tonów i półtonów mniej lub więcej ponurych, między którymi dominuje jako najsilniej zaznaczony — dramat złodzieja Wasii Popioła, namiętnej Wassilisy i potulnej Nataszy. Wątek tego dramatu, oplątanego w powoje stanów psychicznych innych osób i wtłoczonego w bagnisko wyrzutków — wynurza się leniwie z tkaniny trywialności, potem kryje się znowu i zda się — przepada. Lecz nie! Wylania się znowu niespodzianie, rozwięzuje raptem i — ginie, rozpływa się w wiecznie pędzącej naprzód fali życia, pozostawiając w przytułku słabe echo, które wnet kona. Autor z barwnych kamyków, dobranych artystycznie, układa mozajkę, w której widz dopatrzy się tyle ile dopatrzeć się zdolny. Więc na widowisko sztuki Gorkija trzeba uzbroić się w lornetę daleko i głęboko sięgającą. A wtedy z podziwem dla twórcy spostrzeżemy, jak co chwila uchyla on nam okienko na ogromne, przepaściste głębie dusz ludzkich, na tajniki bytu i uczy nas nawet w wyrzutkach szanować człowieka. Tę wielką lekcyą zawiera ten obraz wielkiego znawcy dusz, co miłością apostolską gorąco umiłował człowieka.

Przy wykonaniu tego cudnego dzieła sztuki chodzi głównie o sharmonizowanie szczegółów i doskonały zespół. Zrozumiał to reżyser i wywiązał się z swego zadania tak, iż nawet pierwszorzędna scena pozazdrościła by nam tak świetnie inscenizowanej bójki w trzecim akcie i tak nastrojowego śpiewu w czwartym akcie. A mise en scene oraz charakterystyka poszczególnych osób były tak staranne i udatne, że nie należy skąpić dyrekcyi szczerego uznania.

Pomniejszej wagi rzeczą jest jak pojęli i wykonali swe role poszczególni artyści. Byle nie „psuli“ całości—sztuka, wystawiona tak dobrze, nie przeminie bez głębokiego i silnego wrażenia. A nikt nie zepsuł sztuki; wszyscy mniej lub więcej szczęśliwie wcielili się w swe role. Panna Zielińska, posiadająca doskonałe warunki do takiej „Hanusi“, nie umiała nagiąć się do środowiska nędzarzy. Jako Natasza była za młodą, za naiwną, za potulną. Aczkolwiek z natury cicha i bierna, siostra Wassilisy nie mogła ani wyglądać tak idealnie ani poruszać się z taką gracyą ani mówić z miękkimi tonami w głosie. Pan Poleński obniżył ciekawą postać Satina, nie udochomiwszy go jak leży to w intencyi autora. W ruchach i dykcyi był parobczakiem i tylko bezmyślnem echem starego pielgrzyma. Pan Turski dał nam płytką, nieciekawą kreacyą Kostylewa a p. Czternasty niefortunną sylwetkę policyanta.

Wiele twórczego talentu okazali pp. Ryger, Stradiot i Dobrzański. Role swe opracowali oryginalnie i doskonale w szczegółach i tak metodą Kamińskiego stworzyli kreacye nietuzinkowe, nacechowane inteligencyą aktorską. Wprawdzie inaczej wyobrażam sobie aktora-pijaka, wszelako zważywszy warunki, jakimi rozporządza pan Ryger, można tylko powinszować mu tej kreacyi. Jak inteligentnie opracował Kleszcza pan Stradiot okazało się między innemi w umiejętnem zaznaczeniu różnicy, która zaszła w zgryźliwym ślusarzu po śmierci żony. Spozierając na opróżnione po niej łóżko i słaniając się na nie p. S. suggestyonował, iż lubo Anna była mu kulą u nogi, czuje

on brak jej dotkliwiej aniżeli zdaje sobie z tego sprawę. Pan Dobrzański stworzył znakomity typ zwyrodniałego arystokraty. Wyraz jego twarzy, chód, bicie pięściami w stół — wszystko nosiło cechy absolutnego niedołęgi, który przyszedłszy na świat z chmurą na umyśle nigdy nie był panem siebie i z trwogą spoziera w przyszłość, z ponurem: „co dalej?...“ na ustach. Jak liść podmuchem wiatru miotany spadł do przytuliska sam nie wie jak i wegetuje bez podpory, żyjąc z łaski nierządnicy.

Pan Ryszkowski w roli pielgrzyma o gołębiem sercu, albo raczej anioła pocieszyciela stanął zupełnie na wysokości zadania tak, iż zrozumieliśmy dlaczego wspomnienie jego jednego żyło w myślach wyrzutków niezatarte, podnosiło upadłych moralnie i koiło dusze. Pan i pani Czerniak, pp. Andruszewski i Kalinowski wywiązali się z swych ról bez zarzutu, a ostatni z nich zasłużył sobie nadto na poklask za śpiew, któremu inni wtórzyli jaknajlepiej. Panna Podgórska ucharakteryzowała się doskonale i odegrała rolę jędzy — Wasilisy bardzo dobrze, pominąwszy to, że nie dość dobitnie podkreśliła namiętne swe żądze ku Popiółowi. P. Wiślański jako Popiół był wiele naturalniejszym niż zwykle i rzadko tylko popadał w swój nieszczęsny patos. Z wyglądu nie całkiem odpowiadał intencyi autora, ale wogóle nie raził. Panna Marjewska miala jednę z najtrudniejszych ról. Mimo to wywiązała się z niej zaszczytnie chociaż nieco przeholowała w gwałtowności. Jakoż w dyalogu ostatnim z baronem wykrzyczała słowa: „a widzisz, jak nie miło gdy ci ludzie nie wierzą!“ — miasto wyrzucić je z sarkastycznym chichotem. P. Dybizbański był poprostu niezrównanym szewczykiem, który „nic nie chce.“

Życzyć należy, aby piękny spektakl, jaki zgotowała nam dyrekcya, zwabił jaknajliczniejszy zastęp widzów.

Roman Rola.

Mandżurya.

(Do illustracyi albumowej.)

Mandżurya prowincya państwa Chińskiego, granicząca z Syberyą, Mongolią, Koreą i Chinami właściwemi, oblana morzami Japońskiem i Żółtem, ma 942,000 klm. kw. przestrzeni. Znaczna część tego kraju, zawierająca 650,000 klm. kw., odstąpiona została w 1858 r. Rosyi, z czego utworzono tak zwany kraj Nadamurski. Mandżurya jest bardzo górzystą (góry Jabłonowe, Dauryjskie, Szan-yanalia i Chycata), przerzniętą rzeką Amur z licznemi jej dopływami. Klimat lądowy, zimny i ostry, lato nadzwyczaj gorące, zima dokuczliwie mroźna i długa. Grunt w nizinach urodzajny, wydaje zboże, tytuń, owoce itd.; główne przecież bogactwo kraju stanowią ogromne lasy, dające przytułek licznym gatunkom dzikich zwierząt (wilki, niedźwiedzie, kuny, sobole, gronostaje), których futra są przedmiotem obszernego handlu. Ludność dochodzi do 12 000,000; utrzymuje się przeważnie z rybołówstwa i polowania, prowadząc życie koczujące. W r. 1901 została Mandżurya zajęta czasowo przez wojska rosyjskie, które miały strzedz porządku i budowy kolei mandżurskiej. Wejście wojsk rosyjskich było wywołane napadem wojsk chińskich na robotników kolejowych, a chociaż je później wycofano z Mandżuryi, kraj ten jest od tego czasu kością niezgody pomiędzy sąsiadami, przeważnie między Rosyą. Świeżo nadeszły z Pekinu wiadomości, że ponowne obsadzenie Mandżuryi przez wojska rosyjskie wywołało wielkie zdziwienie na dworze chińskim. Chiny są zdecydowane bronić orężem nietykalności Mandżuryi. Podpada, że wojska rosyjskie obsadziły strategiczne punkty właśnie w chwili, gdy pułki, wysłane z Europy, stanęły w zatoce Peczili. Rosya lokuje nadto w Mandżuryi wielkie zapasy żywności.

Na interwencyą mocarstw sąsiednich co do obsadzenia Mandżuryi przez wojska rosyjskie dał ambasador rosyjski uspakajające zapewnienia. Wedle telegramu Anglia, Japonia i Stany Zjednoczone pospołem zamierzają wystąpić w sprawie Mandżuryi. Rosyjski konsul ogłosił notę, w której oświadcza, że Mandżurya stoi otworem dla obcego handlu i nie wymaga się od przybyszów paszportów.

—ski.

Wiadomości.

— **Spisy wyborcze** uprawnionych do wyborów parlamentarnych obywateli wyłożone są w Poznaniu od 18 do 25 maja w starym ratuszu w sali B. na I piętrze. Przeglądać je można od godziny 8 do 1 przed południem i od 3 do 6 po południu, nawet w niedzielę dnia 23 go b. m.

Spisy w tym czasie wyłożone także będą we wszystkich miejscowościach w całych Niemczech bądź to na magistracie lub ratuszu, bądź też w pomieszkaniu sołtysa lub wójta.

Zachęcamy obywateli tak naszego grodu jak też wszystkich miejscowości w dzielnicach polskich do jak najpilniejszego i najsumienniejszego przeglądania spisów wyborców, gdyż od tego zależnym jest wynik wyborów.

— **Koncert „Lutni“**, który przy licznem zebraniu odbył się dnia 17 b. m., wypadł pod każdym względem doskonale. Przedewszystkiem podnieść trzeba, że chór pod kierownictwem p. M. Eichstaedta wykazał postęp i wywiązał się z swego zadania dobrze. „Pieśń wieczorna“ Gounoda, oraz „Pieśń cygańska“ Brahmsa wypadły szczególnie ładnie. Panna Elźbieta Keybets, wiolenczelistka z Brukseli, ładnie oddała Berceusę Skarżyńskiego, wogóle jednak gra jej nie wychodzi po za granicę dyletantyzmu. Znany barytonista p. Wiktor Grąbczewski — wywoływany w nieskończoność — święcił tryumfy, posługując się swym sympatycznym głosem umiejętnie, z wielką miarą artystyczną. P. Friedman olśniewał techniką a szczególnie fortissimami i aksamitnemi fiorytarami w „Arlekinie“, lecz w oczach znawców nie może uchodzić za Chopinistę.

„Lutni“ — tak piękne mającej zadanie — życzymy serdecznie dalszego rozwoju. Floreat!

— **„Globus“**, — istniejące w Poznaniu pod tą firmą dwa polskie handle papieru, materyałów piśmiennych itd. przy ul. Szerokiej Nr. 6 i Rycerskiej nr. 37 — zaopatrzone są zawsze obficie w najlepszy towar z pierwszorzędnych fabryk po cenach najtańszych, mianowicie w wielki wybór pięknych i gustownych podarków praktycznych i okolicznościowych, także w pocztówki najrozmaitsze, najnowsze. Handle te polecamy łaskawym względom Szanownych Czytetników.

— **Strach ma wielkie oczy.** Gazety niemieckie wykazują na podstawie urzędowego zestawienia, że na 100 dzieci uczęszczających do szkoły i władających tylko językiem niemieckim, przypada dzieci mówiących po polsku: w Westfalii 1.5, w Prusach Zachodnich 10.4, a w W. Ks. Poznańskiem 190. Plenność Polaków jest dla Niemców wprost zatrważająca. Niemieckie rodziny liczą przeciętnie 3 do 5 dzieci, a polskie, o zgrozo! 5 do 8. Na tysiąc ludności przypada dzieci w wieku od 10 do 15 lat u Niemców 351,8, a u Polaków 404.1. Powodów tej liczebnej przewagi dopatrują się gazety niemieckie w mniejszem wymaganiu Polaków na polu ekonomicznem, przez co wytwarzają oni niebezpieczną konkurencyę dla Niemców, potrzebujących bez porównania więcej — i w sprowadzaniu polskich robotników z zagranicy. Aby niebezpieczeństwo to odwrócić, domagają się zamknięcia granicy dla robotników rosyjskich i galicyjskich. Jeżeli rząd na ten krok się nie zdecyduje, natenczas wszystkie miliony uchwalone przeciwko Polakom na nic się nie zdadzą.

— *Lubcz pod Rogowem.* Na odbudowanie spalonego kościoła w Lubczu złożyli w dalszym ciągu: Za pośrednictwem „Lecha Gnieźnieńskiego 123,25 mrk. Ks. prob. Jany z Sokolnik 50 m. Ks. prob. Sikorski z Góry 30 m. Z Murczyna, parafii Górskiej: J. Adamski 10 m St. Strzyż 8 m. M. Jarmuż 6 m. Fr. Kwasek, J. Inski po 5 m. Fr. Jędrzejczak 4,10 m. M. Zabłocki, K. Adamski po 3 m. Fr. Strzyż, J. Łysy, J. Toporski, S. Kurek, J. Fojutowski, J. Lemański, J. Słomkowski, K. Brzykca, J. Brzykcy, Jan Kończal, Ign. Kończal, Fr. Kończal po 1 m. Fr. Słomkowski, Magdal. Osińska po 1,50 m. M Słomkowska, S. Kurek, A. Derezińska, J.

Witczak, Agata Strzyż, M. Fojutowski, Fr. Kwiatkowski, W. Buza, M. Świtała, W. Głowski, W. Duch, J. Cyganek po 1 mrk. St. Świtała, W. Łysy, St. Toporski, Fr. Lewandowski, M. Kurek, J. Markiewicz, Wł. Czechowicz, J. Zabłocki, J. Batkowski, J. Świtała. J. Piechocki, J. Wodzyński po 50 fen. Jan Zabłocki 60 fen. J. Górny, St. Michalski po 30 fen. Zdrojewski, Inski po 25 fen Chęś, Kuczma, St. Świtała, Kwiatkowski, Grzechowiak po 20 fen. Jurek 10 fen. Cieśla 5 fen. Tomasz Goc z Sarbinowa 20 m. P. Borowscy z Kwieciszewa 10 m. P. Krygier z Cotonia 10 m. N. N. z Gąsawy 1,10 m. Michalina Czaja z Gałęzewa 10 m. Ignacy Wróblewski z Mięcierzyna 100 marek. Za pośrednictwem JKs. dziekana Echausta: Fr. Grajek z Ryszewka 12 m. Aug. Janas z Ryszewka 3 m. Róża Panien z Kcronowa, par. Goniembickiej 7 m.

Składając serdeczne „Bóg zapłać," proszę o dalsze łaskawe ofiary.

Ks. Czerwiński.
Lubcz p. Rogowo.

— **Pr. Starogard.** Dziewiąta podczas istnienia księgarni pod firmą „Józef Nowak" w Starogardzie odbyła się dnia 11 b. m. rewizya przez miejscowego komisarza oraz jednego z niższych urzędników policyi celem skonfiskowania spiewników z piosnkami „Jeszcze Polska nie zginęła" oraz „Cześć pieśniom narodowym." Obaj panowie odeszli po ścisłej rewizyi bez rezultatu, którego się niezmiernie napewno spodziewali.

Zmarli.

† Ś. p. *Anastazya Niedzielska*, od lat 54 wierna klucznica p. Emilii hr. Bnińskiej w Samostrzelu, d. 12 b. b.

† Ś. p. z *Arndtów Helena Loga* dnia 14 b. m. w Poznaniu. Zwłoki pochowano w Gnieźnie d. 18 b. m. na cmentarzu św. Piotra.

† Ś. p. *ks. Teodor Szypow*, proboszcz-jubilat w Brudzewie, dnia 15 b. m. Urodził się w r. 1820, otrzymał święcenie kapłańskie w r. 1847, był proboszczem od r. 1867.

† Ś. p. *Ignacy Szeliga Łukomski* dnia 16 b. m. w Poznaniu, przeżywszy 62 lata.

Ś. p. *Jan Molski*, w 48 roku w Berlinie. Zmarły brał przez wiele lat najczynniejszy udział w publicznem życiu kolonii berlinskiej i pracował wiele dla rozwoju tamtejszych Towarzystw.

† Ś. p. *Siostra Teresa hr. Ostrowska*, ostatnia wojewodzianka polska, dnia 17-go b. m. w klasztorze Przemienienia Pańskiego w Poznaniu, przeżywszy 72 lata.

† Ś, p. *Stanisław Bociański* dnia 16 b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 25.

Od Redakcyi.

Pani Zofii S. w K — Ten kwiat Pani wiersza ma być „obrazem poezyi zacnej — dla niej ludzkość głazem." Dla takiej poezyi i my zachowamy nieczułość głazu i bez względu na to, że „mdleje ona cudna — jak czar ułudna — w chciwości błocie, spętana w locie — i szlocha rzewnie, że zginie pewnie." Niech ginie! bo nie wiele z niej pociechy dla świata sztuki.

Panu W. K. w S. — Forma dosyć zręczna, ale treść nie odpowiednia dla „Pracy."

Pani A. St. w D. — „Geografia" lub „gieografia" — jedno i drugie dobre.

Panu F. R. w B. — Rozwiązaniami zagadnień z dziedziny „grafologii" się nie zajmujemy.

Towarzystwu gimnastycznemu „Sokół" w Śremie i Towarzystwu Przemysłowemu w Krotoszynie. — Notatki o zapowiedzianych uroczystościach względnie majówkach doszły nas już po wydrukowaniu numeru 20-go na dzień 17-go b. m. Zamieszczenie notatek w dzisiejszym numerze nie miałoby już celu. Na przyszłość prosimy o wcześniejsze nadesłanie komunikatów.

Towarzystwu gimnastycznemu „Sokół" w Gostyniu. — Patrz odpowiedź powyższą.

Panu P. G. w Poznaniu. — „Ostrawa Morawska. — Maehren-Oesterreich."

Wiadomości literackie.

— **Towarzystwo galicyjskie** "Zreformowanie wychowania i nauczania" ogłosiło świeżo odezwę, w myśl której Zarząd Towarzystwa oznajmia, że w połowie roku bieżącego przystąpi do wydawnictwa organu swego „Reforma" szkolna" pod redakcyą Adama Szymańskiego.

Abyśmy mogli prowadzić podjętą pracę, potrzebujemy poparcia niemniej niż 1000 członków wspierających.

Ponieważ jednem z najważniejszych zadań Towarzystwa jest zgromadzenie oryginalnych polskich podręczników szkólnych i ponieważ skompletowanie podobnej biblioteki może być dokonanem tylko przy ofiarności ogółu, przeto Towarzystwo zwraca się do osób prywatnych z prośbą o nadsyłanie dawnych podręczników do Zarządu Towarzystwa. Przedewszystkiem chodzi nam o podręczniki wydane przez Komisyę edukacyjną, Izbę edukacyjną W. Ks. Warszawskiego, podręczniki z czasów Królestwa kongresowego do 1831 r. i Wolnego miasta Krakowa do r. 1846 i wreszcie podręczniki, wydane staraniem lub w czasach istnienia Towarzystwa pedagogicznego w Poznaniu i nieliczne podręczniki wydane przez emigracyę w Paryżu.

Cena Odezwy 30 halerzy. Cena Statutu Tow. 20 halerzy: — Dochód na rzecz Towarzystwa. — Adres Zarządu: Lwów, Gołębia l. 10. Sekretarz Tow. Adolf Tyszko. — Czasowy adres Oddziału Tow. w Krakowie: ul. Kolejowa I. 2. III p.

— **Ueber politische Fragen.** Sine ira et studio von Fabius Publicus. Cena 35 fen. z przesyłką 38 fen. Broszura ta napisana przez wytrawnego publicystę, rozbiera poszczególnie tak zwane kwestye polityczne, między temi także polską, czeską, rzymską itd Autor dowodzi, że racya stanu jak i cała polityka zaborcza nie tylko z moralnego, ale i z praktycznego punktu widzenia chybia w rezultacie celu. Nie racya stanu, sprowadzająca coraz większy zamęt w sprawach publicznych, lecz zasady chrześcijańskie powinny kierować polityką. Bez ducha chrześcijańskiego i zmysłu sprawiedliwości w życiu politycznem rozwiązanie kwestyi politycznych pozostanie zawsze — zagadką.

Broszurę tę wobec groźnych aspiracyi wynaradawiania usilnie polecamy.

Kwity na „Pracę" i „Czytelnią" zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.

Dział kobiecy.



Kobieta jako mąż stanu.

Kobieta, która przed 50 laty była bardzo w modzie i odgrywała ważną rolę w dyplomacyi, była to księżniczka de Lieven. W r. 1836 przybyła ona z ambasady rosyjskiej w Londynie do Paryża, osiedliła się tam i pozostawała aż do swej śmierci w r. 1856 w ścisłej przyjaźni z historykiem francuskim Guizot'em. Odtąd zapomniano o niej prawie, lub wiedziano tyle tylko, ile w pamiętnikach swych pisali o niej Chateaubriand i Talleyrand, pierwszy z przesadną niechęcią, drugi z wyrazami uwielbienia. Dopiero w ostatnim czasie Ernest Daudet ogłosił w „Revue des Deux Mondes“ fragmenty jej korespondencyi z Guizotem, a z nich, jako też z pośmiertnego dzieła zmarłego niedawno księcia de Broglie, możemy sobie utworzyć prawdziwy obraz tej zajmującej kobiety.

Co ją głównie charakteryzuje — jak pisze książe de Broglie — to „że chciała ona, aby salon jej, w którym naturalnie Guizot naczelne zajmował miejsce, był otwartym dla polityków francuskich i zagranicznych, stale lub chwilowo bawiących w Paryżu, którzyby z jakiejkolwiek strony Europy wnieśli do niej „woń polityki“, bez której obejść się nie mogła.“

Książe Broglie dodaje jeszcze, że mimo życzliwości, jaką go księżna zaszczycała, stał on się dla niej doprawdy zajmującym dopiero wtedy, kiedy, nawiązawszy stosunki z ministrem spraw zagranicznych, mógł jej donosić wiadomości, jakich innym sposobem otrzymać nie mogła.

Taką, jak ją kreśli książe, pozostała ona przez lat dwadzieścia; była w tymże czasie zarazem doradczynią i przyjaciółką, słowem Egerią Guizota, oddaną jego interesom zarówno wtedy, gdy był ministrem Ludwika Filipa, jak kiedy rewolucya z lutego pozbawiła go władzy.

Podczas tych lat dwudziestu bywał on u niej codziennie, czasem po kilka razy dziennie. Gdy byli chwilowo rozdzieleni, pisywali do siebie. Silne i trwałe uczucia tych dwojga ludzi natchnęły Balzaca do napisania powieści: „*Les secrets de la princesse de Cadignac.*“

Znany polityk francuski, hrabia de Vogue pewnego razu — było to przed publikacyą wspomnianej korespondencyi, wyraził się o księżnej de Lieven, której nie umiał wyobrazić sobie inaczej, jak kobietę-polityka: „Guizot musiał się potężnie nudzić z tą kobietą.“ Dziś wiemy, że tak nie jest. Listy ich są tego niezbitym dowodem, a nadto przekonywa nas o tem jedno zdanie krótkie, które księżniczka umierająca, nie mogąc już mówić, skreśliła drżącą ręką, podając Guizotowi: „Dzięki za dwadzieścia lat przywiązania i szczęścia!“

Żądza być zawsze „dobrze poinformowaną“ przetrwała u księżniczki polityczny upadek przyjaciela. Wszystkie zdobyte wiadomości wysyłała do cesarzowej rosyjskiej, na adres hrabiny Nesselrode. Carowa przy śniadaniu odczytywała listy carowi Mikołajowi, a często car brał je do siebie, aby z nich zrobić w dyplomacyi użytek.

W Paryżu wiedziano o tem, że księżna utrzymuje stosunki z dworem rosyjskim, lecz wiedziano również, że wielkiego wpływu swego w ciele dyplomatycznem używa ona na korzyść Francyi.

Podczas trwania lipcowych rządów, Rosyanka ta była gorącą zwolenniczką aliansu francusko-angielskiego, wiedziała bowiem, że car Mikołaj uważał Ludwika Filipa za uzurpatora, pragnęła więc, aby Francya pozyskała innego sojusznika.

Po zdetronizowaniu Ludwika Filipa i proklamacyi Napoleona III zmieniła taktykę. W r. 1852 pracowała nad zbliżeniem Rosyi do Francyi i dlatego zaprzyjaźniła się z hrabią de Morny, który dążył do tego samego celu.

Jak ważne i wyjątkowe stanowisko księżna zajmowała w Paryżu, o tem świadczy wizyta, jaką u niej złożyła panna de Montijo, późniejsza cesarzowa Eugenia. Była ona już zaręczona z Napoleonem, lecz rzecz trzymano jeszcze w sekrecie. Wówczas hrabia de Morny radził przyszłej cesarzowej, aby złożyła wizytę księżnej, nikt bowiem lepiej od niej nie potrafi usposobić na jej korzyść dworów europejskich. Cesarzowa Eugenia później opowiadająca o tej wizycie, wyraziła się, iż „była to stara kobieta, chuda, sucha i twarda.“

W istocie miała wówczas już lat 65 i nie pozostało jej nic z dawnych wdzięków. Książę de Broglie był obecnym przy tem spotkaniu się i pisze o niem: „Nie zapomnę nigdy, że w salonie księżnej de Lieven po raz ostatni witałem piękną obcą hrabiankę, którą niegdyś znałem, będąc sekretarzem przy ambasadzie w Madrycie, a która w parę dni później wyniesioną została do rangi cesarzowej. Krążyła już o tem pogłoska i zwracała na nią uwagę wszystkich. lecz nic jeszcze nie wiedziano na pewne. Lecz gdy widziałem pełne głębokiego szacunku zachowanie się pani domu, gdy widziałem, że ona na niskiem krzesełku usiadła przed kanapą, na którą poprosiła młodą piękność, zrozumiałem, że rzecz już jest zdecydowana i że nie mam czasu do stracenia, aby jej złożyć me hołdy, jeżeli nie mam stanąć na równi z całą zgrają dworzan, wyczekujących wiadomości.“

Ernest Daudet w swem studyum o księżniczce de Lieven zastanawia się nad kwestyą, jaki stosunek właściwie łączył księżnę z Guizotem i wyraża przekonanie, że była to tylko „czuła przyjaźń.“ Chateaubriand, mniej dyskretny, przemawia wyraźniej: „Poważny doktryner — pisze on — leży u stóp Omfalii. O miłości, ty zgubiłaś Troję.“

Kochankowie ci, gdy się poznali, mieli już każde przeszło 50 lat. W r. 1840 Guizot pisał z Londynu po przyjaciółki: „Czem jest to, co ci mówię, wobec tego, co czuję? Moje serce jest nieskończenie bogatsze, niż moja mowa... Rzuć więc ten papier i wejdź w moje serce. Czytaj tam, czego nie piszę, usłysz to, czego ci nigdy nie mówiłem.“ Korespondencya Guizota z panią de Lieven obfituje w ustępy tego rodzaju

Dział rolniczo-ekonomiczny.

„Westy"

dyrekcya nadesłała nam następujące pismo:

Będąc w posiadaniu głównych liczb bilansowych za rok *1902* możemy zakomunikować członkom i życzliwym naszej instytucyi, iż *czysty zysk* roku obrachunkowego wyniesie po *odłożeniu pełnej matematycznej rezerwy*

mr. 85 294.46

w stosunku do mr. 55 050.26 w r. 1901.

Rezerwy wraz z składkami przeniesionemi na rok 1903 podniosły się na

mr. 3 200 637.63

i wynoszą 28.11% ogólnej sumy zabezpieczonej. Oprócz tego do kapitału bezpieczeństwa odłożone zostanie

mr. 21 323.61.

Dla członków wypadnie za rok 1902

12% dywidendy

(rok 1901 dał 10 procent.)

Certyfikataryusze otrzymają 4% zysku, które stanowić będą ca 12% od wartości kuponu.

Wypłaciliśmy w roku 1902:

mr. 178 750 po 78 *zmarłych* członkach
mr. 22 110 członkom *za życia*.

Ogółem dotychczas wypłacone zostało przez „Westę" do końca roku 1902

mr. 3 627 445.68.

Nasze procent przynoszące fundusze *wzrosły* o mr. 163 751. 45. *Cały majątek „Westy"* podniósł się zaś do wysokości

mr. 3 383 964.41.

Pszczelarstwo.

Aby nie urzec, to wiosna tegoroczna rokuje w pasiekach niezgorsze widoki. A byłyby one bezwątpienia większe, gdyby nie kwiecień, który wierny przysłowiu, wplótł nam niespodzianie zimę w lato.

Taki nagły spadek ciepłoty na zdrowie pszczołom pewno nie wychodzi, bo nie tylko wiele lotnej muchy o śmierć przyprawia, ale i grozi nią czerwiowi, jeżeli ul nie zaopatrzony ciepło. Kto się wszakże nie spieszył z rozpakowaniem uli, lub ma je ciepło futrowane, oczka na czas pozwężał, a pszczołom podał wodę, temu zimna kwietniowe nie mogły wielkich spowodować szkód w pasiece i — jeżeli maj nie zawiedzie jeszcze — może wczesnej spodziewać się rójki.

Z przygotowaniem uli dla przyszłych rojów nie powinno się zwlekać, bo czas szybko biegnie a trzeba pewno w niejednym ulu coś poprawić: tu daszek zaciekający, tam zatwór nie dość szczelnie skutkiem wypaczenia pasujący, a każdy ul trzeba wewnątrz oszurować, do każdego wybrać ramki z woszczyną odpowiednią wreszcie ustawić na toku. To wszystko nie da się należycie uskutecznić w ostatniej chwili, gdy nadto nie wiadomo, czy nie wypadnie wtedy równie pilna robota poza pasieką. Więc nie zwlekajmy z tem!

Krótko, jasno, dobrze.

Francuski minister rolnictwa kazał poumieszczać obok lasów i przy drogach czarne tablice drewniane z następującymi napisami: Pożywienie jeża stanowią myszy, ślimaki, pędraki, zwierzątka bardzo szkodliwe. Nie zabijajcie jeża! — Ropucha niszczy w godzinie 20 do 30 owadów. Nie zabijajcie ropuchy! — Kret spożywa nieustannie pędraki, świerszcze, poczwarki i owady wszelkiego rodzaju. W żołądku jego nie znaleziono nigdy ani śladu roślin. Jest on bardziej pożyteczny, niż szkodliwy. Nie zabijajcie kreta. — Chrząszcz majowy i pędrak są najgroźniejszymi nieprzyjaciółmi gospodarstwa wiejskiego. Chrząszcz majowy kładzie 60 do 100 jaj, z których powstają naprzód pędraki a potem znowu chrząszcze. Zabijajcie chrząszcza majowego! — Owady wyrządzają corocznie ogromne szkody. Ptactwo jedynie może z nimi walczyć pomyślnie, bo ptaki żywią się gąsienicami. — Dzieci nie wybierajcie gniazd ptasich!

Czy i u nas nie byłoby rzeczą pożądaną postarać się o podobne tablice i odpowiednie napisy?

Jaką korzyść przynoszą jaskółki w oborach i stajniach?

Miliardy much i komarów zatruwają, jak wiadomo, latem życie zwierzętom domowym i zmniejszają korzyść z nich dla gospodarstwa w mleku i mięsie. Przeciwko tej pladze nie mamy lepszego przyjaciela i wyręczyciela, jak jaskółki. Ścisłe badania naturalistów nad ich życiem wyjaśniają nam, że para jaskółek jest dziennie 16 godzin w ruchu, a każda jaskółka przynosi w godzinę swoim młodym 20 razy pożywienie. Oboje rodzice przynoszą zatem swoim młodym 32 razy 20 czyli 640 razy przez dzień świeży pokarm, składający się za każdą razą z 10 do 20 owadów. Wynosi to zatem najmniej 6 400 komarów i much, prócz tego, co sami rodzice na swoje pożywienie spotrzebują, co także wynosi około 600 komarów i much. Z tego wynika, że para jaskółek zjada dziennie 7000 owadów, co na miesiąc wynosi 210 000. Gniazdo zatem jaskółcze, składające się z 7 głów, pożera w czasie lata najmniej 600000 tych nieproszonych gości w oborach i stajniach. Jeżeli więc we wsi zagnieździło się 100 par jaskółczych, to pożywienie ich obliczyć można przynajmniej na 60 milionów much i komarów. Dlatego nie niszczmy gniazdek jaskółczych, ale przeciwnie pomagajmy im do rozmnażania się i umieszczajmy pod gniazdami deseczki, na które ptaszki wygarniać będą nieczystości z gniazdka, aby te nie spadały na inwentarz i aby ptaszki na deseczkach spokojnie odpocząć sobie mogły.

Szkody dla rolnika
przez niszczenie jaj ptasich.

Ile szkody zrządza chłopiec niszczący gniazdko ptaszka owadożerczego, podaje pewien badacz na przykładzie następującym. W gniazdku zniszczonym było 5 jajek lub młodych ptaszków, z jajek wykłutych. Każdemu z tych ptaszków znoszą rodzice przeciętnie 50 gąsienic lub owadów, co daje na dobę 250 owadów. Gdy pasienie tych ptaszków potrwa dni 30, to stare ptaszki dla młodych w tem gniazdku zniszczyłyby 7 500 owadów. Każda gąsienica niszczy codziennie tyle liści i kwiatów, ile sama waży. Dajmy na to, owa gąsienica zjada choćby tylko jeden kwiat, z którego ma być owoc — zatem przez dni 30 zjada 30 owoców w kwieciu — owych 7 500 gąsienic niszczy 225 000 takich kwiatów czyli owoców. Liczby te są przekonywujące, niechaj rodzice dzieciom na to pilnie zwracają uwagę, by ptasich gniazd nie niszczyły.

Dodatek Humorystyczny.

Kobieta w świetle muzyki.

(Studyum muzyczne.)

Panna-dziecko godna pędzla
Rafaela lub Coreggia...
Dusza piękna — w niej harfowe
Archanielskie brzmią *arpeggia*.

Gdy dwudziesty roczek spłynie,
Pierwszej wiosny motyw przegra,
Wtedy w duszy rozkochanej
Najprzedniejsze brzmią *allegra*.

Ale oto i trzydziestka!
Piękna pieśń, *Lied ohne Worte*,
Dusza rwie się całą mocą
I brzmi *forte*, bardzo *forte!*

Gdy to minie, grunt stateczny
Już się chwyta *pede stante*..
Czas ucieka, a pieśń życia
Już przeciąglej brzmi — *andante*.

Pięćdziesiątka — smutny okres...
Resztki tlą po dawnym szale...
Oto koncert ku końcowi,
Oto *rondo* już *finale*.

I cóż potem pozostaje?..
Dusza podryg ledwie czyni,
Nogi słabną, już się trzęsą .
To — *tremolo con sordini!*

Przymówka.

— Pani na spacer, panno Zofio?
— Tak, panie Karolu.
— Pozwoli pani sobie towarzyszyć?
— Owszem, bardzo mi będzie przyjemnie.
Po chwili.
— O czem pani myśli, panno Zofio?
— O tem, że po raz ostatni wyjeżdżamy z mamą na letnie mieszkanie.
— A to dlaczego?
— Mama powiada, że nastał już czas, kiedy trzeba się raz zdecydować, albo wyjść zamąż, albo przestać wyjeżdżać na kosztowne letnie mieszkania..

Za kulisami.

— Powiedz mi Maniu, którego z twoich wielbicieli najwięcej kochasz?

— Mówiąc prawdę, to każdy ma swe zalety, w hrabiu kocham jego stanowisko, w bankierze majątek, w artyście Iks jego talent, a w recenzencie teatralnym jego dla mnie pochwały.

Fazy.

Kiedy panna wzdycha często,
Kiedy w marzeń wpada kleszcze,
To niezbitym jest dowodem,
Że jest gąską wielką jeszcze.

Gdy wygłaszać zdanie pocznie,
Jako żonom zdradzać wara,
To pewnikiem jest koniecznym,
Że już zamąż wyjść się stara.

Gdy wygłasza zbyt naiwnie
Zdania, sądy i nadzieje,
O, to wtedy jest pewnikiem,
Że już nieco się starzeje.

Sub rosa.

— Pani majstrowa! pani majstrowa! Tu w garnku dziura.

— Gamoniu jakiś! czego się drzesz, przecie kasza nie przeleci!

— Ale mięso przeleciało i ani krzty nie mogę dojrzeć.

Wierszyki abecadłowe

do deklamacyi dla dorosłych mężczyzn wobec gości zapytujących: „Co słychać nowego"?

A. B. C.

Setkę chcę,
Nikt mi nie zborguje,
Bo sam bankrutuje.

C. D. E.

Jest więc źle,
Bo chleb będzie droższy,
Za to ja uboższy.

F. G. H.

Człowiek pcha
Ciągle biedę swoją,
A troski się roją.

I. J. K.

Dusza łka,
Tanich mieszkań niema,
Aż się ciało zżyma.

L. Ł. M.

Lepiej psem
Być w takowym trudzie,
Spaćby można w budzie!

N. O. P.

Cóż *in spe*
Będzie tedy z nami,
Losu ofiarami?

R. S. T.

Szaty drę!
Chcą mi znów, — wyborne!
Podwyższyć komorne.

U. W. X.

Już dostaję *fixe*,
W żołądku mnie gniecie,
Żegnaj luby świecie!

Y. Z. Ż.

Skończę wnet
Żywot, bo mi fika
W głowie — nakształt bzika!

Mało pensyi — dużo pracy...

— Patrz, twój kolega leci już do redakcyi, spiesz-że się i ty!...

— Niema potrzeby... On ma małą pensyę i dlatego musi wcześniej przychodzić, bo ma ogromnie dużo do roboty, ja zaś mam dużą pensyę, więc mogę wcale do redakcyi nie przychodzić...

Z teki dekadenta.

Moja dusza upiorzyca,
Upowita w skalny dźwięk,
Mchów grobowych — bladolica,
Srebrnopióra, — mglisty lęk
W trzcinach nóg mych wpaja jadem,
Dzikiej pieśni, co szatański
Śmiech przerywa zgubnym śladem,
Gdy w kostnicy anioł pański
Wśród powiewnych życia mar
Kłosem cierni niesie dar,
Wiatr brzezinę czasem skłoni,
Jak zabawkę,
Po jeziora smagłej toni,
Praboleści i przesmutku
Szczypie trawkę...

Niezawodny sposób na wygubienie myszy.

— Jakże tam państwo, kontenci z nowego mieszkania?

— O, moja pani, mieszkanie byłoby wcale dobre, tylko mamy masę myszy...

— Ach, moja pani, i myśmy ich też mieli dużo, dopiero jakem wzięła do służby dziewczynę ze wsi, a ta wiejskim zwyczajem śpiewa ciągle przy robocie, a w dodatku piskliwie i fałszywie, tak się gdzieś jakby cudem wyniosły.

— O, moja pani, zaraz się starać zaczynam o wiejską dziewczynę!

Dział powieściowy.



MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

63) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO

—*—

(Ciąg dalszy.)

Obydwaj panowie poszli na górę, żandarmi zostali na schodach, Józefina zaś, dziwnie przerażona, nie umiejąc sobie nawet wytłumaczyć powodu swego niepokoju, pobiegła do sypialni lady Wiktorji.

— Co się tam stało? — zawołała lady Corrigan też już na prędce ubrana.

— Nie wiem! Żandarmi w domu!

— O Boże!

W tejże chwili zapukano do drzwi.

— Kto tam? — rzekła lady Wiktorja drżącym głosem.

— Ja, — dał się słyszeć lord William, otwórz prędko, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Lady otworzyła, a do pokoju wszedł mąż jej i Wasyl.

— Jak możesz wprowadzać do mojej sypialni obcego mężczyznę? — zawołała lady oburzona.

— Jestem dyrektorem policyi, — odrzekł Wasyl zuchwale, — i mam prawo wchodzenia wszędzie, gdzie mi obowiązek nakazuje!

ROZDZIAŁ XCIX.

Fałszywa Diana de Bassano.

— I jaki to jest obowiązek? — zapytała lady Corrigan wyniośle. — Nasz dom nie jest, zdaje mi się, pierwszą lepszą szynkownią, do której w nocy może wchodzić każdy, kto chce! Mąż mój i ja nie jesteśmy zresztą tutajszymi poddanymi i stoimy ponad wszelkiem podejrzeniem!

— Tak jest, i nie chodzi mi też wcale, ani o panią, ani o męża pani, — odrzekł Wasyl z uśmiechem.

— Więc o kogo?

— O zbrodniarkę, którą mam aresztować!

— Zbrodniarki szukasz pan w naszym domu?

— Tak, milady!

— Mylisz się pan, tu jej nie ma! Przejrzałam sama legitymacye i paszporta naszej służby.....

— O służbę też mi nie chodzi. Ja szukam panny Diany de Bassano!

Piorun z jasnego nieba nie byłby mógł więcej przerazić lady Wiktoryi, jak te słowa Wasyla.

Józefina zadrżała.

— Ja jestem Diana de Bassano, — szepnęła.

Miała ona jednak nadzieję, że kilka słów wystarczy na wyjaśnienie omyłki i była dosyć spokojną.

Wasyl zbliżył się natychmiast do niej i położył jej rękę na ramieniu.

— Aresztuję panią w imieniu prawa, — rzekł głośno i poważnie.

— Nigdy! — krzyknęła lady Wiktorya. Ja na to nie pozwolę! Diana nie mogła popełnić nic złego, ja za nią biorę wszelką odpowiedzialność!

— Podziwiam szlachetne serce milady, — odrzekł Wasyl, — ale zapewniam, że bronisz osoby niegodnej twego zaufania. To oszustka, — dodał, wskazując na Józefinę, — umiała tak usidlić księcia Bassano, że się z nią ożenił, ale nie dosyć na tem, oddała ona się występkom rozmaitym, a mianowicie — rozszerzaniu fałszywych pieniędzy!

— Boże Wielki! — krzyknęła Józefina, — to nieprawda! Nazwisko moje....

— Milczeć! — zgromił ją Wasyl. — Ani słowa!

— Nie! ja muszę powiedzieć — zaczęła znowu Józefina, — że nazwisko moje.....

— Jest inne, — dokończył Wasyl, — powiesz nam może, że nie nazywasz się wcale Diana de Bassano, że papiery jej dostałaś przypadkiem do rąk, ale ja się znam na takich wykrętach! Odpowiedz mi teraz na kilka pytań! Możesz przysiądz, że nie mieszkałaś kilka tygodni w domu żyda Gregorowicza tu, w Petersburgu?

Józefina poznała teraz, że jest zgubioną.

— Możesz przysiądz? — powtórzył Wasyl szyderczo.

— Nie!

— Masz pani najlepszy dowód jej winy, — rzekł, zwracając się do lady Corrigan. — Ale ja tutaj badać jej nie mogę, i nie miałoby to też żadnego celu. Wyrok na nią zapadł już od dawna!

— Wyrok! Na mnie! — jękła Józefina.

— Tak! Szukamy cię już od dwóch lat! W notatkach żyda Lajbusia, zabitego w walce z przemytnikami, znaleźliśmy wszystko dokładnie spisane — były to ogromne sumy, które księżna Bassano brała od fałszerzy złota i banknotów, i zamieniała na prawdziwe! Oprócz tego oskarżył ją własny mąż o wiarołomstwo i inne jeszcze drobniejsze występki..... Wytoczono jej więc proces zaoczny i skazano na zesłanie na Sybir! Księżna myślała, że tu już zapomnieliśmy o niej, ale my mamy bardzo dobrą pamięć! Skoro tylko przeczytano na paszporcie to nazwisko, doniesiono mi o tem, i od wczoraj już śledzimy ją nieustannie.....

Józefina rzuciła się do nóg lady Corrigan.

— Milady! — krzyknęła z rozpaczą, — ja jestem niewinna! Powiedz, że wierzysz mi, powiedz to! Jeżeli ty jedna jesteś przekonaną o mej niewinności, to zniosę wszystko, więzienie, Sybir — śmierć, ale powiedz, że wierzysz mi!

Nie, tak zbrodniarka mówić nie mogła! Lady Wiktorya przeczuła, że chodzi tu o jakąś intrygę i że wszystko to, co mówił Wasyl, było kłamstwem!

— Wierzę ci, moje dziecko, — szepnęła, pochylając się ku Józefinie.

— O, dzięki Bogu! Nie, milady, ja doprawdy nie jestem zbrodniarką! Nie miałam nigdy stosunków z fałszerzami pieniędzy i nie jestem wcale księżną Bassano! Nie znam nawet księcia! Ale prawdą jest, że mam papiery księżnej — użyłam ich, aby mieć wstęp do tego domu, i stało się to za radą mego najlepszego przyjaciela, który będzie każdej chwili świadczyć za mną na sądzie. Więcej nie chciałabym już powiedzieć, ale jeżeli nie będę miała innego ocalenia się, wtedy powiem, kto jestem! Bo tu chodzi o mój honor i o moje życie, i w takim razie ustawają wszelkie względy!

Lord Corrigan zadrżał i spojrzał znacząco na Wasyla.

— Odprowadzić ją! — krzyknął Wasyl na żandarmów, którzy teraz stali przy drzwiach.

Ale teraz rzuciła się lady Wiktorya naprzód i stanęła pomiędzy Józefiną a dyrektorem.

— Precz! — zawołała rozkazująco, — nie ważcie się dotknąć jej! Ona jest niewinna! A ty, — dodała, zwracając się do męża, — stoisz tu spokojnie i nie bronisz tej, którą ja tak kocham?

— A — zapewne, — odezwał się lord William, ocierając spocone czoło, — ja też myślę, że — hm — hm ta dziewczyna jest niewinną — ja — biorę nawet na siebie — odpowiedzialność za nią, i — jeżeli potrzeba, złożę kaucyą — hm, hm.

Zamiast odpowiedzieć, skinął Wasyl na żandarmów.

— Wziąść ją!

— Nie, nie! — wołała lady Wiktorya, — nie pozwolę, nie dam jej! To nie policyanci, to bandyci, mordercy!

— Dalej! — krzyknął Wasyl. — Odepchnąć ją!

Józefina broniła się, rozpacz dodawała jej sił, w końcu jednak musiała poddać się przemocy. Ale gdy żandarmi ciągnęli ją już do drzwi, zdołała raz jeszcze wydrzeć się z ich rąk, i z dziko błyszczącemi oczami przyskoczyła do lorda Corrigan.

— I ty pozwolisz na to, — krzyknęła rozdzierającym głosem, „że córkę twoją, dziecko twoje, wyprowadzają z twego domu jako zbrodniarkę i złodziejkę? Ty sam popchnąłeś mnie w tę przepaść, wyrodny ojcze!“

ROZDZIAŁ C.

Nieszczęśliwa matka.

Lord Corrigan stał z spuszczoną głową, jak prawdziwy winowajca.

Wszyscy obecni w pokoju zdumieli, a nawet Vasyl sam spojrzał na swego przyjaciela dziwnym, pytającym wzrokiem. Czyżby to miało być prawdą? Czy nędznik ten chciał rzeczywiście posłać własną córkę na Sybir?

Najwięcej przerażoną była lady Wiktorja.

Nie mogła ona przemówić ani jednego słowa.

— Zaprzecz pan, jeżeli możesz — zawołała Józefina znowu — powiedz, że nie zamieniłeś mnie z innem dzieckiem, że nie oddałeś mnie w ręce zbrodniarzy, powiedz, że to nie prawda!

— Ona straciła rozum — szepnął teraz Corrigan — wszystko, co mówi, jest kłamstwem!

— Nie, to nie jest kłamstwo — odezwała się nareszcie lady Wiktorja i ujęła się Józefiny. — O moje dziecko! moje nieszczęśliwe dziecko, czemu ty mi tego prędzej nie powiedziałaś? Tak długo milczałaś.... A ja cię tak pokochałam, jak gdybym była przeczuła, że jesteś moją córką!

— Matko! Matko!

I z głośnym płaczem rzuciła się córka w objęcia ukochanej matki.

Żadna z nich, uniesiona najwyższem szczęściem nie zauważyła, że lord Corrigan zrobił dyrektorowi potajemnie znak liczenia pieniędzy i rozłożył szybko pięć razy palce obydwóch rąk.

Znaczyło to pięćdziesiąt tysięcy rubli.

Vasyli zrozumiał.

— Precz! — krzyknął ostro — ta kobieta jest moją uwięzioną! Nie przyszedłem tu na komedje rodzinne, nie mieszam się do tajemnic pani, ale zabieram aresztowaną!

— Co, ty mi chcesz zabrać moje dziecko? — roześmiała się lady Wiktorja okropnym śmiechem na wpół obłąkanej — o nie! — Bóg na to nie pozwoli! Ja jestem jej matka i bronić jej będę aż do upadłego, a woli matki nawet wasz car nie zwycięży.

— Żona pana obraziła właśnie cara — zawołał Vasyl — i właściwie powinienem ją także aresztować. Ale mam wzgląd na jej rozdrażnienie. Tę kobietę jednak — dodał wskazując na Józefinę — zabieram natychmiast! Chociażby nawet nie była księżna Bassano, chociażby rzeczywiście pochodziła z rodziny Corrigan, to przecież sama przed chwilą przyznała, że znajdowała się u zbrodniarzy. Od nich też nauczyła się rzemiosła, które później wykonywała tu w Petersburgu!

— Ach — jękła lady Wiktorja — zmiłuj się pan nademną, nad nieszczęśliwą matką. Przecież masz serce, albo może nie masz go? Nie masz serca — nie masz — nie!

I wybuchając strasznym śmiechem i płaczem, upadła na krzesło.

Silny kurcz wstrząsał jej ciałem — po chwili ucichła i zemdlała.

— Korzystajcie z tego — wskazał Vasyl.

Żandarmi wyprowadzili Józefinę, krzyczącą rozpaczliwie o pomoc, i zamknęli drzwi.

— Kiedy ona pójdzie na Sybir? — szepnął lord.

— Dziś jeszcze wyślę ją do Moskwy, ztamtąd zaś wychodzi w następnych dniach cały transport więźniów. Pan staraj się o wywiezienie żony tu ztąd, bo ona gotowa nam nieprzyjemności jakie zgotować!

Lady Wiktorja otworzyła teraz oczy i obejrzała się w około.

— Gdzie moja córka — zawołała, zrywając się. — Czekaj, ja pójdę z tobą — idę już — idę....

Ale Vasyl zbliżył się do niej z rewolwerem.

— Jeszcze jeden krok, a strzelę — rzekł cicho.

Lady Wiktorya nie dała się zastraszyć.

Szybkim ruchem ręki wyrwała rewolwer Wasylowi i zmierzyła do niego.

— Zanim ty mnie zabijesz nędzniku, — szepnęła ochrypłym głosem, — to ja ciebie zgładzę ze świata! Giń!

Ale zanim zdołała wystrzelić, czuła się pochwyconą z tyłu za ręce, i żelazna dłoń męża wytrąciła z jej palcy morderczą broń.

Potem schylił się lord, podniósł rewolwer i wrzucił go w srebrną wodą napełnioną miednicę.

Wasyl wybiegł na kurytarz.

Józefina była już związana i skneblowana i po chwili zniesiono ją na dół do stojącej przed domem dorożki.

— Biedna dziewczyna, — mówił odźwierny do garderobianej, — nie wróci ona tu pewnie. Kto raz wpadnie w moc tego wilka, ten już zgubiony na wieki!

Lady Wiktorya została teraz sama z mężem, który stojąc przy oknie zdawał się przygotowywać do zaciętej walki.

Przez chwilę głuche panowało milczenie.

W końcu zbliżyła się lady Wiktorya do męża i patrząc mu w oczy wyrzekła jedno tylko słowo:

— Zbrodniarz!

Lord zadrżał, uznał jednak za najlepsze nic na to nie odpowiadać.

Wtedy zadzwoniła lady i rozkazała wchodzącej garderobianie krótko:

— Pakować natychmiast moje kufry! Wyjeżdżamy!

— Kiedy?

— Zaraz!

— Na jaki dworzec posłać kufry?

— Potem ci powiem! Za godzinę musi wszystko być gotowe!

Garderobiana wyszła.

— Zamierzasz wyjechać z Petersburga? — odezwał się teraz nagle lord Corrigan.

— Nie myślę ci zdawać sprawy z tego, co zamierzam uczynić, przedewszystkiem jednak pragnę się jak najprędzej uwolnić od twojej obecności.

— Wypraszam sobie taki ton! Jesteś moją żoną i musisz mi być posłuszną!

— Żartujesz pewnie! Jestem wprawdzie jeszcze twoją żoną, ale przestanę nią być wkrótce!

— Ah, więc zażądasz rozwodu! Zapominasz jednak, jakie ztąd powstaną plotki! Po dwudziestoczteroletniem pożyciu małżeńskiem rozwód! Wszyscy będą się starali poznać przyczynę......

— Nie będą się potrzebowali starać, bo ja sama wszystko odkryję!

— Jakto? — zawołał lord zaniepokojony. — Dlatego jeszcze nie możesz się rozwieść ze mną!

— Zażądam rozwodu na mocy przepisu, dającego żonom prawo rozwiedzenia się z mężem, jeżeli mąż, popełniwszy jaką zbrodnię, siedzi w więzieniu karnem.

— Dom karny! I komu będę go miał do zawdzięczenia?

— Mnie!

To jedno słowo wywarło na lordzie takie wrażenie, jak gdyby go kto był pchnął sztyletem.

— Ty — moja żona — uczyniłabyś to? — zawołał.

— Tak, ja, ja uczynię to! Jeżeli ty mogłeś postąpić tak z twoją córką, to czemu ja matka, nie mam jej pomścić? Jadę do Londynu i powiem prokuratorowi, że zamieniłeś dzieci zaraz po urodzeniu! Ręka sprawiedliwości dosięgnie cię, i lord Corrigan, par Anglii pójdzie do domu karnego! A teraz proszę, wyjdź z mego pokoju, chcę tu zostać sama!

— Odchodzę już, ale przestrzegam cię, nie rób tego, co zamierzasz! Możesz się ze mną rozwieść, jeżeli jednak chcesz mnie oddać w ręce sądu, to zaszkodzisz tem sobie i twej córce!

— Zdaje mi się, że nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Wyjdź, abym mogła otworzyć okno! Wstydzę się samej siebie, że tak długo oddychałam tem samem powietrzem z takim, jak ty — nędznikiem!

(Ciąg dalszy nastąpi).

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENÉ BAZIN.

9) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Starsza z nich, stara panna z Alsheimu, drobna kapitalistka, mieszkała przy kościele, który przyozdabiała w dnie uroczyste. Wątła, o twarzy szarej, wyglądała na znużoną, ale mimo to uśmiechała się pogodnie, odmawiając Różaniec. Młodsza szła z prawej strony ścieżką wiodącą na samym brzegu zbocza z głową trochę dumnie podniesioną. Jej matowe blond włosy, przypominające barwą piękną korę jodły i cała postać kształtna, silna, odcinała się na bladem tle obłoków, wypełniających krzywizny. Jan się nie poruszył, ale mimo to ona go dostrzegła, odwróciła głowę i uśmiechnęła się, ale nie przerywała modlitwy, tylko skinieniem oczu wskazując szczyt góry, zdawała się mówić:

— Będę cię oczekiwała tam!

Obie kobiety nie zwolniły kroku. Szły równo, wyprostowane, poruszając lekkiem bujaniem się ciała i wkrótce zniknęły w cieniu lasu. Na zakręcie drogi, wiodącej wprost ku klasztorowi i przerzynającej wierzchołek góry, ujrzał obie podróżniczki. Szły prędzej, niż dotąd, zadowolone, że już przybyły do celu podróży. Wrękach miały otwarte parasole, mgła bowiem zaczynała się skraplać. U stóp drzew zaczęły się zarysowywać długie cienie. Była to pora, kiedy słońce zwykło się było pochylać ku Wogezom i leżącym po za niemi dolinom Francyi. Pielgrzymi, którzy już oddali hołd relikwiom świętej Otylii, śpieszyli do miejsc, uświęconych przez tradycyę pobożną lub świecką, do źródła św. Otylii, św. Jana, wzdłuż „muru pogańskiego,“ albo też wązką ścieżką wspinali się na skały Männelsteinu, zkąd roztacza się wspaniały widok na sąsiednie wzgórza, na szczyty Bloss i Elsberg, na ruiny zamków, jak np. Andlau, Spesbourg-Landsberg i inne, których starożytne wieżyce wznosiły się ponad jodłami.

Jan widział, jak dwie podróżniczki przeszły dziedziniec klasztorny, kierując się ku kaplicom. Wtedy zawrócił aż do początku alei, którą wiatr zamiatał i wszedł wzdłuż wielkiego budynku, przypominającego fortyfikacye opodal twierdzy, które gdzieniegdzie przecinały sklepione przedsionki, tworząc wejścia.

W dziesięć minut później Otylia wyszła z kaplicy i domyślając się, że Jan Oberle nie czeka na nią na dziedzińcu, wśród tłumu ludzi, skierowała się w stronę lasu. Ubrana była tak, jak w Wielki Czwartek, w tę samą ciemną suknię i letni żakiet, na głowie miała słomiany kapelusz skromny i młodzieńczy, przybrany tiulem z szerokiem rondem, podniesionem z jednej strony. Wyglądała w nim bardzo ładnie. W ręce trzymała parasolkę. Szła prędko, z głową nieco naprzód pochyloną, nie zwracając uwagi na przebywaną drogę, tak jak idą ludzie, pogrążeni w modlitwie lub marzeniu.

Kiedy się zbliżyła do Jana, stojącego na prawo od wejścia, podniosła ku niemu twarz i mówiła jednym tchem:

— Towarzyszka moja odpoczywa, a ja przyszłam tutaj...

— Ach, jak to dobrze, żeś mi uwierzyła — zawołał Jan. — Chodźmy, Otylio!

I poszli razem, tuż obok siebie, przez aleję, wysadzaną cienkiemi drzewami, pokrzywionemi przez burze zimowe.

Jan uczuwał tak silne wzruszenie, że mógł myśleć i mówić tylko o jednem, t. j. o swej wdzięczności dla Otylii, która szła równie wzruszona, milcząca, jakby wsłuchana w to, czego on nie wypowiadał.

Tam, gdzie droga zwraca się na dół, weszli na ścieżkę, prowadzącą dokoła klasztoru. Otaczał ich las gęsty i wysoki. Nie mieli już żadnych świadków. Jan widział, że złotawe oczy Otylii, głębokie i poważne, podniosły się ku niemu. W ciszy leśnej słychać było tylko szmer kropli mgły, spadającej z liści.

Stali przytuleni do siebie.

— Prosiłem cię o przyjście — rzekł Jan — poto, ażebyś zawyrokowała o mojem życiu. Byłaś mi przyjaciółką w dniach pierwszej młodości. Chciałbym, ażebyś nią pozostała na zawsze.

Wzrok Otylii błądził w przestrzeni. Drżała lekko, odpowiadając:

— Czy pomyślałeś?...

— O wszystkiem.

— Nawet o tem, co nas może rozdzielić?...

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czego się obawiasz? Czy wejścia w rodzinę rozdwojoną?

— Nie.

— O, jestem pewny, że ty pogodzisz moją rodzinę. Wniesiesz do niej radość i spokój. Czegoż się zatem lękasz? Może oporu ze strony naszych ojców, którzy się stali wrogami?

— Toby się dało zwyciężyć — odparła młoda dziewczyna.

— A więc boisz się tego, że twoja matka mnie nienawidzi! — zawołał Jan gwałtownie. — Ona mnie nienawidzi!... Nieprawdaż!... Wtedy była dla mnie tak surową, obrażającą.

Potrząsnęła jasną główką na znak przeczenia.

— Moja matka nie będzie tak skorą do uwierzenia w ciebie, jak mój ojciec i ja. Ale kiedy się przekona, że cudzoziemskie wychowanie nie zmieniło w tobie duszy alzackiej, otrząśnie się ze swego uprzedzenia.

Po chwili milczenia dodała:

— Zdaje mi się, że się nie mylę: przeszkody, istniejące dziś, mogą być usunięte przezemnie, lub przez ciebie, albo też przez nas oboje. Obawiam się jednak czegoś nieokreślonego, jakiegoś zdarzenia, któreby jutro mogło pogorszyć dzisiejszy stan rzeczy i tak już dosyć zmącony.

— Rozumiem — rzekł Jan — obawiasz się ambicyi mego ojca.

— Być może!

— Tyleśmy już przez nią cierpieli. Ale on jest przecież moim ojcem. Zależy mu na tem, ażebym pozostał tutaj. Powtarza mi to codziennie. Skoro się dowie, że cię wybrałem, Otylio, choćby miał nawet jakieś inne osobiste zamiary, mogące przeszkodzić naszemu połączeniu, zgodzi się na to, aby je przynajmniej odłożyć.... Nie miej więc tej obawy.... Zwyciężymy!

— Zwyciężymy! — powtórzyła.

— Jestem tego pewny, Otylio! Ty uczynisz słodkiem moje życie, które bez ciebie byłoby tak strasznie ciężkie, może nawet niemożliwe do zniesienia. Dla ciebie tylko wróciłem do kraju..... Widziałem tyle świata, a jednak nigdzie nie spotkałem kobiety, którąby dla mnie miała tyle uroku, co ty, i któraby wywierała na mnie wrażenie, jakby ci to wyrazić.... górskiej krynicy, świeżej i głębokiej. Ile razy przychodziła mi do głowy jakaś myśl o przyszłem małżeństwie, zawsze ukazywał mi się twój obraz. Kocham cię, Otylio!

Ujął jej rękę, a ona, z oczami wzniesionemi w świetlistą przestrzeń, roztaczającą się przed nimi, odparła:

— Bóg mi świadkiem, że kocham cię nie mniej.

Ogarnęło nią jakieś rozkoszne wzruszenie.

Jan uczuł, jak ręka jej drżała w jego dłoni.

— Tak — mówił do niej, szukając oczami jej oczu, utkwionych w przestrzeń — zwyciężymy wszystko! Przełamiemy liczne przeszkody, które zrodziła ta nieszczęsna sprawa narodowa..... Tylko ona nas dzieli.....

— Niewątpliwie. Ona jedna panuje w tym zakątku.

— Ona zatruwa wszystko!

Ale Otylia, zwracając ku Janowi swoją twarz promienną tem wielkiem, pięknem uczuciem, które on w niej rozniecił, wyrzekła:

— Powiedz raczej, że powiększa wszystko. Nasze kłótnie tutejsze nie są sporami jednej tylko wsi. My wszyscy jesteśmy za ojczyzną, albo przeciw niej. Zmuszeni jesteśmy codziennie do wypowiadania naszych przekonań, tworzenia sobie co rok nowych wrogów, zrywania z dawnymi przyjaciółmi, którzyby nam chętnie pozostali wiernymi, ale którzy przestali być nimi dla Alzacyi. Niema prawie w na-

szem życiu codziennem czynu obojętnego, czynu, któryby nie był przyzwoleniem. Wierzaj mi, Janie, że w tem wszystkiem jest dużo wzniosłości.

— To prawda, moja Otylio ukochana!

Umilkli oboje, napawając się rozkoszą tego słodkiego wyrazu. Dusze ich skupiły się w oczach i patrzyły na siebie, drżące ze wzruszenia. Cichym głosem, pomimo, iż jedynymi świadkami ich szczęścia były jodły, które wiatr poruszał lekkim powiewem, mówili o swojej przyszłości, jak o czemś, co już zaczęli zdobywać.

— Będę miał za sobą Lucynkę — mówił Jan. — Przy pierwszej sposobności powierzę jej swoją tajemnicę. Będzie mnie popierała w imię własnego interesu i przez przywiązanie do mnie. Dużo na nią rachuję.

— Ja zaś liczę na mego ojca — odparła Otylia. — On jest tak dobrze dla ciebie usposobiony. Strzeż się tylko, ażeby nie popełnić jakiejś nieostrożności, któraby go mogła rozdrażnić. Nie staraj się widywać mnie w Alsheimie, nie przyspieszaj godziny.

— Rozkosznej godziny, w której zostaniesz moją narzeczoną!

Uśmiechnęli się do siebie po raz pierwszy.

— Kocham cię tak głęboko — zaczął znów Jan — że nie śmiem cię nawet prosić o pocałunek, któregobyś mi pewnie nie odmówiła.... Nie mam prawa... Zależymy oboje nietylko od siebie, Otylio! A przytem miło mi jest okazać ci, jak bardzo jesteś dla mnie świętą... Powiedz mi przynajmniej, że odchodząc ztąd, zabiorę z sobą choć cząstkę twojej duszy?

Usta jej szepnęły: „tak.“ A zaraz potem dodała:

— Czy słyszysz, tam, pierwszy dzwon wielkanocny?

Wychylili się oboje w tę stronę, gdzie las się zniżał.

— Nie, to pewnie wiatr porusza liście drzew.

— Chodźmy — rzekła — dzwony za chwilę uderzą, a jeśliby mnie wtedy nie było na górze, towarzyszka moja mogłaby opowiedzieć....

Nie kończąc zdania, pociągnęła go za sobą aż do stóp skały; tam się rozłączyli, aby wrócić do opactwa osobno.

— Przyjdę później na taras, aby cię jeszcze zobaczyć — rzekła Otylia, rozstając się z Janem.

Niebieskawe cienie kładły się w zagłębieniach wąwozu. Noc zdawała się zbliżać, przynosząc z sobą myśl o jutrze.

Po kilku minutach Jan przebył dziedziniec, przeszedł korytarze i otworzył drzwi, wychodzące na ogród, położony na wschód zabudowań klasztornych. W ogrodzie tym zgromadzają się zwykle pielgrzymi, aby w jasną pogodę popatrzeć na Alzacyę.

Z lasu sterczał wierzchołek skały w kształcie ostrogi, przewyższającej jodły, rosnące na zboczach. Prowadził do niej przez szczyt góry niewysoki mur kamienny. Z najwyższego punktu miejsca, objętego murem, niby z wierzchołka latarni morskiej, widać na prawo cały łańcuch gór, a wprost i na lewo równiny Alzacyi.

Mgła się rozdzieliła na dwa pasy, bo słońce już zaszło za szczyty Wogezów. Szare, przyćmione obłoki nie przewyższały skalistej linii szczytów. Tuż nad niemi promienie słońca, padające prawie poziomo, przenikały mgłę i zabarwiały ją złotawo, nadając drugiej połowie krajobrazu wygląd jakiejś lekkiej, świetlnej piany. Ten rozdział mgły wykazywał szybkość, z jaką obłoki z dolin Alzacyi dążyły ku uchodzącemu słońcu. Różnorodne mgły zbierały się w oświetlonej przestrzeni, rozpościerały się w niej, zmieniając co chwila swe kontury. Zdawało się, że jakaś siła porywa te warstwy i unosi je wyżej, ku światłu.

W ciemnym kawałku ziemi, przeznaczonym dla pielgrzymów i ciekawych, stał u wejścia jakiś starzec, ubrany jak mieszkańcy północnej Alzacyi. Obok niego znajdował się ksiądz o siwych, wijących się włosach, ten sam, którego rano pozdrawiały dzieci na zboczu świętej Otylii. O parę kroków od księdza stało młode małżeństwo włościańskie z Wissemburga, a jeszcze dalej, w punkcie najbardziej wyniosłym, siedzieli na murze dwaj studenci, opierając się o siebie. Możnaby ich wziąć za braci, tak byli podobni do siebie. Obaj mieli wargi wydatne, wysunięte naprzód i małe, ładne brody, rozdzielone w środku; różnili się tylko kolorem włosów: jeden był blondynem, a drugi szatynem. Wszyscy ci ludzie byli Alzatczykami. Od czasu do czasu zamieniali z sobą banalne wyrazy, jak czynią zwykle ludzie nieznajomi.

Kiedy się do nich zbliżył Jan Oberle, odwrócili się prawie wszyscy i wszyscy uczuli się jakby związani wspólnością rasy, która się wyraziła w ogólnej nieufności.

— Czy to Niemiec, ten, tam? — zapytał jakiś głos.

Starzec, stojący obok księdza, rzucił przelotne spojrzenie w kierunku Jana i odrzekł:

— Nie. Wąsy ma francuzkie i wyraz twarzy swojski.

— Widziałam go, jak przechadzał się z panną Otylią Bastian z Alsheimu — odezwała się młoda kobieta.

Całe grono się uspokoiło, a po chwili nabrało jeszcze większego zaufania do Jana, kiedy ten pozdrowił księdza po alzacku i zapytał:

— Czyżby się dzwony alzackie spóźniły?

Uśmiechnęli się wszyscy nie z jego słów, ale ponieważ uczuli się jakby u siebie, pomiędzy swymi, bez żadnych krępujących świadków.

Otylia przyszła wkrótce i oparła się o mur, na prawo od pierwszej grupy. Jan umieścił się na lewo. Patrzyli na siebie i cierpieli oboje na tem, że się tak bardzo kochają, że wyznali sobie swoje uczucia, lecz mogą liczyć tylko na siebie samych.

Dzwony się nie spóźniły. Dźwięki ich były wchłonięte przez podnoszącą się mgłę. Nagle wyrwały się z obłoków. Zdawało się, że każda warstwa mgły, uderzając o mur, rozpryskiwała się, jak bańka, rozlewając na szczycie świętej góry melodye dzwonów. „Wielkanoc! Wielkanoc! Chrystus zmartwychwstał! Odkupił świat i zbawił ludzi! Niebiosa się otworzyły.“

Tak śpiewały dzwony Alzacyi. Dźwięki ich szły od stóp góry i z dalszych stron, z bardzo daleka. Były tam głosy małych dzwonków i wielkich dzwonów katedralnych. Dźwięki te nie przerywały się i przechodziły między jednem a drugiem uderzeniem w jakiś huk przeciągły. Czasem wydawały się tak lekkie, przerywane, delikatne, jak ruch czółenka tkackiego w osnowie tkaniny. Czasem znów tworzyły niby jakiś chór cudowny, tajemniczy. A czasem znów usłyszeć się dawały, jakby okrzyki radości licznych kościołów, albo też hymny wiecznej wiosny, które z głębi zamglonych dolin wznosiły się coraz wyżej, na szczyt świętej Otylii i zlewały razem w jedną harmonię.

Wspaniałość jej oddziałała na zgromadzonych ludzi. Wszyscy umilkli. Zdawało się im, że cała atmosfera pogrążona jest w modlitwie. Jedni myśleli o Zmartwychwstającym Chrystusie, inni zaś o Alzacyi.

— Widać już błękit nieba — odezwał się jakiś głos.

— O, tak, błękit tam wysoko — powtórzył głos kobiecy niby we śnie.

Zaledwie go usłyszano wśród ryku tonów, które wiatr przynosił z doliny. A jednak wszystkich oczy naraz podniosły się ku niebu i ujrzały, jak wśród mgieł, płynących ku słońcu, tworzyły się jakieś przepaście błękitów i znów się wypełniały mgłą z jakąś szaloną szybkością.

Spojrzeli na dół i zobaczyli, że i tam, na zboczach, poprzerywały się obłoki. Między chmurami niebo było zupełnie czyste. Z pomiędzy płynących oparów wyłaniały się coraz inne części lasu, czarne rozpadliny, krzaki, skały. Potem, nagle, ostatnie szmaty mgły, wydłużone, poszarpane, jakieś żałosne, wzniosły się wijąc ku górze, musnęły taras, minęły go i rozpłynęły się w powietrzu. Ukazała się dolina Alzacyi, błękitna, ozłocona promieniami słońca.

Jeden z patrzących zawołał:

— O, jakże to piękne!

Wszyscy się pochylili naprzód, aby lepiej zobaczyć przez szczelinę górską rozciągającą się w nieskończoność dolinę. Wszystkie dusze alzackie napełniły się wzruszeniem. U stóp leżało trzysta wsi ojczystych, rozrzuconych wśród świeżej zieleni młodych zbóż; tworzyły one jakieś różowe punkty i zdawały się zasypiać przy dźwięku dzwonów. Rzeka, na skraju horyzontu, tworzyła niby wał srebrny, połyskujący. Po za nim zaczynały się wzgórza, ale kontury ich ginęły we mgłach, zawieszonych jeszcze nad Renem. Przeciwnie zaś, tuż blizko, na pochyłościach regli i w lesie św. Otylii można było odróżnić najdrobniejsze szczegóły. W niektórych miejscach las zagłębiał się w dolinę, tworząc jakby przylądki o barwie ciemno zielonej; gdzieindziej znów blada zieloność wiosennych łąk wrzynała się pomiędzy jodły. Cały krajobraz oświetlony był tylko odblaskiem promieni słonecznych. Żaden punkt świecący nie przykuwał wzroku. Barwy ziemi zlewały się w jedną harmonię, podobnie jak dźwięki dzwonów.

(Ciąg dalszy nastąpi).